

J Ó Z E F L U S T G A R T E N

NARODZINY KRAKOWSKIEGO
SPORTU



Urodziłem się prawie że w bezpośrednim sąsiedztwie krakowskich Błoń. Nie ma chyba nic naturalniejszego, że sąsiedztwo to, jeśli nie ukształtowało, to w każdym razie wywarło ogromny wpływ na najmłodsze lata mego życia, które przebiegały niemal równoległe z okresem powstawania i rozwoju parku dra Jordana. Z małą tylko przesadą mogę w dodatku stwierdzić, że codzienna możliwość spojrzenia na człowieka, z którego nazwiskiem związany jest właściwie początek tego, co dziś nazywamy w Polsce wychowaniem fizycznym i sportem, nie pozostała na mnie również bez wpływu. Nie sposób jednak nie cofnąć się do czasów, które w tym względzie poprzedzały dra Jordana i jego czyn. Czy w Krakowie był ktoś, kto by w owych „prehistorycznych” czasach zdawał sobie sprawę z istoty i znaczenia sportu? Wątpię. Istniało wprawdzie Towarzystwo Gimnastyczne „Sokół”, dysponowało imponującym naówczas rozmiarami i wyposażeniem budynkiem, ale jego celem, przynajmniej wyrażonym oficjalnie, było zajmowanie się szerzeniem i uprawianiem gimnastyki w tej formie, w jakiej ją uprawiały niezliczone „Turnvereine” w Niemczech. Mniej oficjalnie, gdyż konspiracja w Austrii nie była potrzebna, był Sokół stowarzyszeniem mającym utwierdzać patriotyzm, szerzyć świadomość narodową i wierzyć w zmartwychwstanie Polski. I pod tym względem posiada Sokół niewątpliwie ogromne zasługi. Czy jednak te zasługi, o ile chodzi o oficjalne zadania, są równe tym, o których tylko krótko wspomniałem? O ile dziś, z perspektywy lat, spojrzę na tę sprawę i uprzytomnię sobie, co i jak w Sokole wyczyniano, aby objąć swą działalnością możliwie szerokie kręgi młodzieży, odpowiedź musiałaby wypaść negatywnie. Faktem jest, że gimnastyka nie miała tej siły atrakcyjnej, która by potrafiła do sal, czy też na boisko koło budynku Sokoła, ściągnąć masy młodzieży. Mowa naturalnie o masach tak niewielkiego miasta, jakim wówczas jeszcze był Kraków. Pamiętam, że większość ćwiczących tam ludzi była już w średnim wieku, a członkowie zbierali się tam raczej w celach towarzyskich. Widoczne to było zwłaszcza w czasie obchodów i rocznic narodowych, w których Sokół był licznie reprezentowany przez szeregi umundurowanych „druhów”. Przypominam sobie, że poza gimnastyką uprawiano tam zapasy w stylu klasycznym i dźwiganie ciężarów. Z grona ćwiczących wyszedł późniejszy zawodowy mistrz świata Zby-

szo Cyganiewicz. Ćwiczył tam także (wyrażenie „trening” nie było wtedy znane) skromny pan Miciński, podobno nauczyciel ludowy, który za mierną opłatą często spełniał rolę „czarnej maski” w coraz bardziej popularnych cyrkowych turniejach zapaśniczych. Do grona tego należał znany później w kołach sportowych Krakowa i Warszawy — Rudy. Uczęszczał do Sokoła dr Erwin Mięśowicz, znakomity lekarz, późniejszy docent przy katedrze chorób wewnętrznych Uniwersytetu Jagiellońskiego. Mówiono, że jest chory na gruźlicę, lecz fizycznie przedstawiał się wspaniale. Wzrostu ponad średniego, szeroki w barach, o wcale wydatnym brzuszku, był nadzwyczajnie silny i podobno w Sokole nie miał przeciwnika. Opowiadano o nim, że pewnego późnego wieczoru, powracając z kliniki, został zaczepiony przez dwu dorosłych drabów. Napastnicy kiepsko na tym wyszli. Doktor chwycił obydwu za kołnierze, stuknął głowami i przerzucił bez większego wysiłku przez wcale wysokie ogrodzenie, skąd wciąż jeszcze niezupełnie przytomnych zabrała następnie policja.

Wcale liczna była sekcja wioślarska, czyli Oddział Wioślarski Sokoła, który — jedyny wówczas w Krakowie — dysponował taborem łodzi także i wyścigowych. Oddział, nie mając na miejscu konkurenta, urządzał co prawda regaty, miały one jednak głównie charakter wewnętrzny. Nie ogłaszane, nie reklamowane, gromadziły tylko niewielu widzów. Uprawiano także z zamiłowaniem wycieczki do Bielan, Bodzowa, Tyńca. Oddział posiadał przywilej urządzania Wianków, a dochód z tego źródła stanowił, zdaje się, podstawę egzystencji wioślarstwa krakowskiego. Życie towarzyskie rozwinęło się na większą skalę, gdy wioślarze uzyskali na przystań budynek stacyjny „Zwierzyńiec”, położony przy moście dębnickim na lewym brzegu Wisły. Później, tj. w latach 1906—1908, wiedziałem o urządzanych przez Sokół tzw. zawodach kościuszkowskich. Były one przeznaczone wyłącznie dla członków i miały poniekąd charakter wieloboju lekkoatletyczno-gimnastycznego, gdyż program przewidywał m. in. bieg na 100 m, wspinanie na linie długości 6 m na czas, skok o tyczce, ćwiczenia na kółkach. Udział był minimalny, o czym wiedziałem z ust członków Cracovii, będących równocześnie członkami i instruktorami w Sokole.

Wspomnieć trzeba także o krakowskim kolarstwie, które w latach 1905—1911 mogło się pochwalić wcale wysokim poziomem. Mowa naturalnie tylko o sporcie szosowym, gdyż tor kolarski — choćby taki, jakie istniały w Warszawie czy Łodzi — pozostawał w sferze marzeń. Często urządzano wyścigi drogowe na 30, 50 i 100 km, których meta najczęściej znajdowała się na szosie mogiłańskiej. Bohaterami szos byli ludzie, których nazwiska przebrzmiały bez śladu, mimo że zawody gromadziły na mecie sporo widzów. I tak przy kole Sokoła, którego prezesem był znany później księgarz Ebert, grupowali się tacy zwycięzcy zawodów, jak długoletni tryumfator i bożyszcze zwolenników kolarstwa Angelus, Antoni Surowiecki (później długoletni zasłużony działacz Cracovii), Eugeniusz Weiss (w latach późniejszych dzierżawca basenu kąpielowego i ślizgawki w parku Krakowskim), Sauer — syn właściciela kawiarni (dzisiaj kawiarni Pod Gruszką) i jeden z ostatnich, Mieczysław Dobija, późniejszy dyrektor administracji „Ilustrowanego Kuriera Codziennego”. W Sokole znajdowały się przez pewien czas tzw. rolki, czyli przyrządy, służące ko-

larzom do treningu w martwym sezonie, na których urządzano w zimie zawody w sali. Młodszy od tego koła był istniejący do dziś pod nieco zmienioną nazwą Krakowski Klub Cyklistów i Motorzystów. Najwybitniejszymi działaczami i zawodnikami spod znaku KKCM byli Garzyński, Grzywiński, Rogowski oraz wielokrotny mistrz Krakowa i Polski Höchsmann. W 1924 roku liczebność KKCM spadła na skutek secesji znacznego odłamu członków, którzy przenieśli się do Cracovii, łącznie z wielokrotnym następnie torowym mistrzem Polski Janem Łazarskim.

Nie zasypiał Kraków i w zimie. W ostatnich latach XIX wieku było w tym niewielkim przecieź mieście stosunkowo dużo ślizgawek. Tak zwana elegancka publiczność zbierała się na ślizgawce w parku Krakowskim. Bilety wstępu tutaj były wprawdzie najdroższe, ale dwa do trzech razy w tygodniu przygrywała orkiestra wojskowa. Szatnia znajdowała się w drewnianym pawilonie a raczej drewnianej budzie, stawianej co roku, orkiestra miała dla siebie podobną muszlę, a bufet łącznie z ogrzewalnią mieściły się w pawilonie kawiarni i mleczarni, gdzie główną atrakcją stanowił świetny gorący krupnik. Tam też pilnowały swych panien mamy i przyzwoitki. Tabliczki tekturowe w wielu sklepach oznajmiały, że „dziś ślizgawka otwarta”, wzgl. „dziś ślizgawka zamknięta”. Wcale nie gorsze lodowisko o znacznie większej powierzchni znajdowało się w ogrodzie botanicznym, gdzie w dodatku obowiązywały niższe wstępy. Pomimo że tam stawiałem pierwsze kroki na łyżwach, trudno mi dokładnie lodowisko to umiejscowić. Składało się z dwu części: większej, dookoła czegoś w rodzaju wyspy, na której niekiedy w niedzielę przygrywała w pawiloniku orkiestra, zastępowana nieraz katarynką. Mniejsze koło przeznaczone było dla początkujących.

Na Grzegórkach, tuż za wałem kolejowym, w miejscu, gdzie dzisiaj sztuczne lodowisko, była ślizgawka „u Mroza”, tak określana od nazwiska przedsiębiorcy.

Jeśli krakowskie ówczesne ślizgawki określać chcielibyśmy kategoriami, to Mróz był wobec powyżej wymienionych, kategorią trzecią. Do klasy „S” zaliczyć muszę „ślizgawkę oficerską”. W miejscu, gdzie obecnie wznosi się gmach Muzeum Narodowego, przepływał przez podmokłą, bardzo obszerną łąkę potok, uchodzący do płynącej tuż obok Rudawy. Z nadchodzącą zimą zamykano potok stawidłem, woda rozlewała się na całą łąkę i zamarzając tworzyła ogromne lodowisko, utrzymywane bardzo starannie przez wojskowych speców. W niewielkim murowanym budynku mieściły się na parterze szatnie i bufet, na piętrze muszla dla stale przygrywającej orkiestry. Ślizgawka, będąca w posiadaniu korpusu oficerskiego krakowskiego garnizonu, przeznaczona była dla oficerów i ich rodzin. Wstęp dla szeregowców i podoficerów był niedozwolony, wyjątek stanowili jednorocznicy. „Cywile” byli dopuszczani i tolerowani bardzo niechętnie, za specjalnymi upoważnieniami, które kosztowały wiele zachodów i poważnych protekcji. Tereny między ślizgawką oficerską a parkiem dra Jordana przecięte przez dwa spore zalewiska — były w lecie wylegarnią komarów, w zimie zaś samorodnymi — co najważniejsze — bezpłatnymi lodowiskami, z których oczywiście korzystała wyłącznie młodzież. Oto pokrótce wszystko o „sporcie zimowym” w Krakowie w latach 1895—1910.

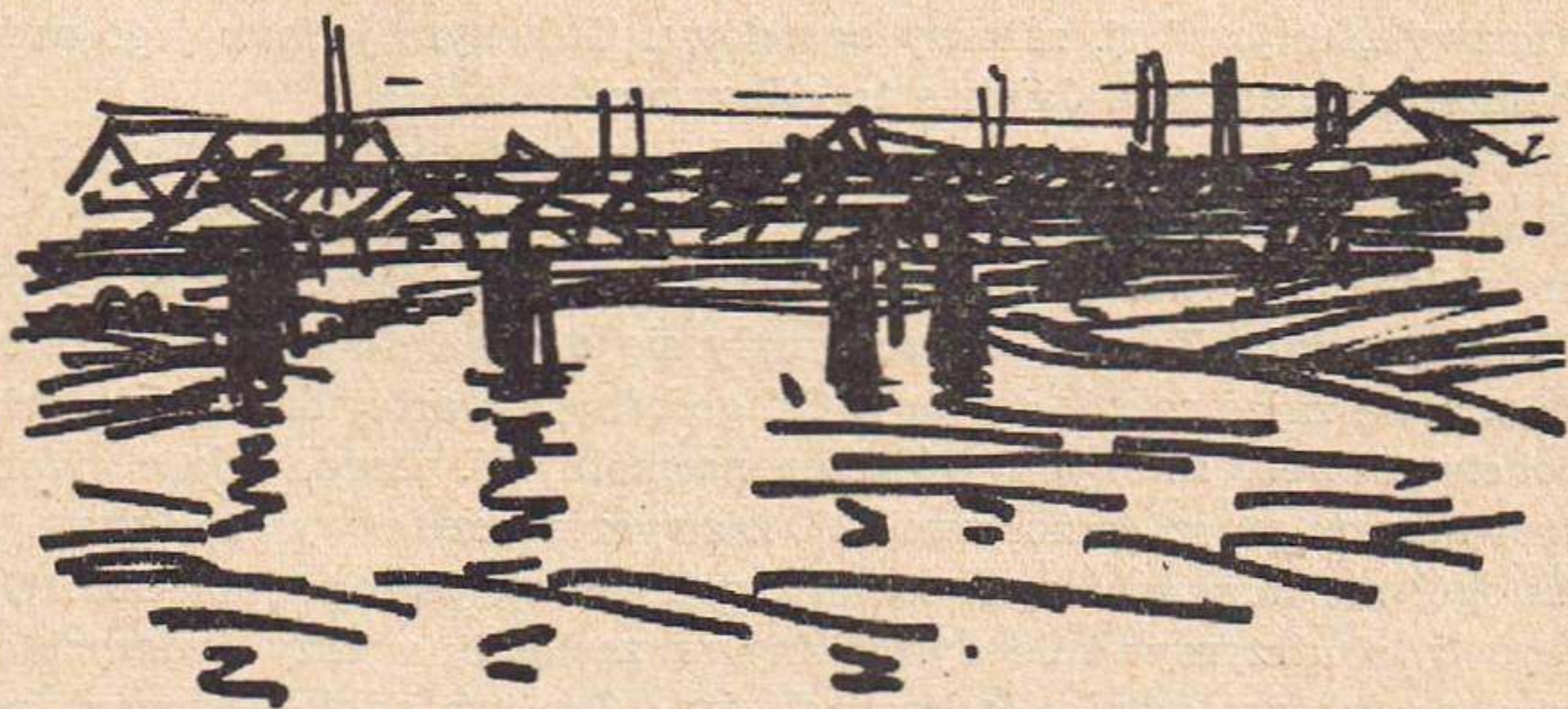
Wspomniałem już, że wyrażenie „sport” było w Krakowie mało znane i mało używane, o wychowaniu fizycznym młodzieży było głucho, a już zupełnie nie wiadano, co to jest i na czym opiera się tak popularna dzisiaj kultura fizyczna. Gdzie i kiedy szukać należy właściwych początków tego olbrzymiego następnie ruchu, kto był jego patronem — trudno mi to przesądzić. Już powiedziałem, że przesadą byłoby chyba przypisać wyłączną zasługę w tym względzie Sokołowi. Na budynku i w sali widniał napis *mens sana in corpore sano*, lecz zbyt mało działało się, by hasło to urzeczywistnić. Dopiero dr Jordan i jego idee stały się początkiem nowej ery.

W roku 1891, po latach niezmordowanych wysiłków i zabiegów zrealizował dr Jordan myśl o stworzeniu dla młodzieży krakowskiej miejsca, gdzie by można było uprawiać gry i ćwiczenia. Własnym kosztem, na oddanych mu do dyspozycji terenach, urządził to, co nazwano później „Parkiem dra Jordana”, lub w powszechnie używanym skrócie — Jordanówką. Zapewne niewielu znajdzie się dziś mieszkańców Krakowa, którzy pamiętają ten park w jego pierwotnej postaci. Nie od rzeczy przeto będzie podać o nim kilka szczegółów.

U wylotu dzisiejszej ulicy Wenecja oraz przez ulicę Retoryka płynęła pokrytym obecnie korytem rzeka Rudawa. Na jej pierwotnym korycie od Cichego Kącika biegną obecnie linie tramwajowe. Cichy Kącik, obecne kąpielisko „Cracovii”, stadion „Wisły” na całej przestrzeni aż do Czarnej Wsi, to był tor wyścigów konnych, nawiasem mówiąc jeden z najlepszych w Europie. Do tego to toru właśnie przylegały grunta oddane drowi Jordanowi. Ich granicą od strony Błoń, czyli od południa, była Rudawa, przez którą przesucony był solidny drewniany most. Od północy granicę tworzyła Nowa Wieś, tj. dzisiejsza ulica Reymonta, zaś od strony miasta, czyli od wschodu, granicą był potok, oddzielający park od zalewisk, o których wspomniałem, mówiąc o ślizgawce oficerskiej. Przestrzeń, jak na owe czasy ogromna, była, jak się w niedalekiej przyszłości okazało, niewystarczająca.

Ideą przyświecającą założycielowi Jordanówki było stworzenie możliwości wyprowadzenia młodzieży na powietrze i uprawiania ćwiczeń cielesnych, a zarazem danie mieszkańcom miasta miejsca spaceru i wypoczynku.

Skąd takie myśli? Dr Jordan, profesor medycyny Uniwersytetu Jagielloń-



skiego, bawiąc w okresie studiów za granicą, miał niejedną sposobność do przyglądnięcia się stosowanym tam metodom wychowywania młodzieży oraz stwierdzenia naocznie znaczenia, jakie przywiązuje się tam do rozwoju fizycznego. Młodzież zagraniczna górowała fizycznie nad młodzieżą polską. Dr Jordan postanowił zmienić ten stan rzeczy i po powrocie do kraju przystąpił do organizacji tego, co zwiemy dzisiaj wychowaniem fizycznym. Wyrazem tego było m. in. założenie parku, nazwanego potem jego nazwiskiem.

Oto podany w zarysach ówczesny plan sytuacyjny parku: Po przejściu mostu na Rudawie wznosił się po lewej stronie niewielki drewniany pawilon mleczarni, a za nim długie a wąskie boisko nr 1, gdzie ćwiczyły różne zastępy; chodzono tam na szczudłach, uprawiano skok w dal i wzwyż, skok o tyczce, grano w kurnik, ćwiczone na koniu i koźle. Dalej ku torowi wyścigowemu znajdowały się boiska piłkarskie nr 2 i 3, owalne, o średnicy 30 i 20 m. Następne boisko nr 4, to niewielki kwadrat, obok niego dwa korty tenisowe, prymitywne, linie oznaczone cegłą, siatka metalowa. Do kortów, mniej więcej w centrum parku, przylegał drewniany pawilon, gdzie mieściła się kancelaria kierownika ćwiczeń, pokój profesora oraz magazyny i szatnie. Opodal mieścił się w tzw. dzwonnicy skład narzędzi ogrodowych, podręczna stolarnia itd. Naprzeciw pawilonu znajdowała się w zakolu weranda dla orkiestry. Boiska nr 5 i 6, położone w sąsiedztwie toru wyścigowego, przeznaczone były do gier, jak piętówka, bębenki itp. Boisko nr 7 miało charakter gimnastyczny. Znajdował się tam drążek, kółka, poręcze, ćwiczone skok w dal. Na samym końcu znajdowało się boisko nr 8 — marzenie amatorów piłki nożnej. Było to największe boisko parkowe, lecz jakże odbiegało od dzisiejszych pojęć i zasad piłkarskich. Owalne, nie pokryte trawą, otoczone pasem zieleni o szerokości około metra, oddzielającym je od wiodącej dookoła ścieżki, liczyło wzdłuż około 50 m, w najszerszym zaś miejscu ok. 30 m. Za nim, ku ulicy Reymonta, strzelnica, w której strzelano z łuku i z flobertu. Od strony północnej trzy boiska krokietowe, większe boisko z drabinami, w zakolu krążnik i wreszcie boisko nr 13, zajmujące największą powierzchnię, ale ogólnie nie lubiane, bo — jedyne w parku — pokryte trawą. Ćwiczyły tam równocześnie najmłodsze zastępy, grając w wieżę, palanta, piłkę uszată, nożną itd. Tak przedstawiał się w zarysie plan boisk w parku. Wspomnieć należy również, że park był w okresie letnim w niedziele i święta wykorzystywany na najrozmaitszego rodzaju i nazwy „festyny” tj. zabawy ogrodowe. Głównym jednak jego zadaniem były ćwiczenia młodzieży. Jak się to odbywało?

W pierwszych miesiącach wiosennych ogłaszano w szkołach średnich, że z dniem 3 maja rozpoczynają się w parku „zabawy”. Zakłady szkolne były podzielone na dwie grupy, dla każdej z nich przeznaczono na przemian po 3 dni tygodnia. Zabawy rozpoczynały się o godz. 18 i trwały półtora godziny, ze zmianą zajęć co pół godziny. Od godziny czwartej bawiły się dzieci ze szkół podstawowych, zwanych wówczas normalnymi. Każda klasa tworzyła zastęp prowadzony przez „przodownika”, zazwyczaj ucznia wyższej klasy. Przodownik na ogół nie miał wyższych kwalifikacji aniżeli jego podopieczni. Obowiązkiem jego było utrzymywanie dyscypliny w zastępie, a przy ćwiczeniach na przyrządach ubezpieczanie ćwiczących itp. On też odbierał przed rozpoczęciem

ćwiczeń od kierownika parku, zwanego dyrektorem, karteczki, zawierające trzypunktowy program na dany dzień. Z tą kartką udawał się do składu przyrzędów, królestwa dozorca parkowego, Mikołaja (o nazwisku Śliwa wiedziało tylko bardzo niewielu) i zastęp w czwórkach udawał się na wyznaczone w kartce boisko.

O ile pamiętam, w pierwszych latach istnienia zachodnia część parku, leżąca za pawilonem głównym, przeznaczona była dla dziewcząt. Ćwiczenia, na które właściwie płęć męska nie była dopuszczana w tę część parku, względnie tylko bardzo niechętnie widziana, prowadził tam pan Kozłowski, figura bardzo charakterystyczna. Średniego wzrostu, twarz pociągła, ryża bródka, cwikier z tasiemką zaczepioną o guzik jasnej płóciennej bluzy, był bodaj pierwszym, który usiłował młodym krakowiankom zaszczepić zamiłowanie do gier i ćwiczeń. Zmiany półgodzinne i przejścia na inne boiska odbywały się przy dźwiękach pieśni patriotycznych, które zaczynał swym nieco kozim głosem p. Kozłowski. Z czasem jednak — nie wiem dlaczego — skończyły się ćwiczenia dziewcząt a park został opanowany wyłącznie przez młodzież męską.

Profesor Jordan bywał prawie codziennie w swym parku. Przyjeżdżał tam dorożką około godziny szóstej wieczorem, bardzo często z małżonką, i przechodził od boiska do boiska. W biurze kierownika (za mej pamięci był nim doktor Tokarski) dowiadywał się o frekwencji, gdyż przodownicy mieli obowiązek podawania przed rozpoczęciem ćwiczeń liczebności swych zastępów. Następnie dowiadywał się profesor u Mikołaja o stanie sprzętu i rozpoczynał obchód boisk. Czynił głośnie uwagi, doradzał w wykonywaniu ćwiczeń, nigdy nie ganił, często chwalił, a taka pochwała z jego ust była odznaczeniem, które pozostawało długi czas w pamięci. Dłuższy czas przebywał zawsze przy boisku ósmym, na którym najstarsze klasy grywały w piłkę nożną. Profesor wiedział doskonale, że boisko nie odpowiada ani w przybliżeniu tym warunkom, jakie widywał za granicą, a jeszcze lepiej, że gra, jaka toczyła się na tym boisku, nie tylko nie była prowadzona według przepisów, ale w ogóle nie uznawała jakichkolwiek reguł. Od czasu do czasu słychać było głos profesora „nie ręką” (r wymawiał gardłowo), na co przywołany do porządku odpowiadał zazwyczaj „to łokieć, nie ręka” i gra toczyła się bez przerwy dalej.

W tym miejscu należałoby dać choćby powierzchowny obrazek boiska i zawodów, aby dzisiejsi piłkarze i jeszcze liczniejsi amatorzy futbolu, coś niecoś o tym się dowiedzieli. Boisko — jak już wspomniałem — było o około połowę mniejsze od normalnego, a przy tym było owalne. Na obu końcach dłuższej przekątnej ustawione były drewniane bramki o wymiarach ok. 3 (wys.) × × 2,5 m (szer.). Liczba grających była różna. Zależało to od liczebności zastępu, a także od ilości oczekujących na jego przybycie amatorów piłki, którzy przychodzili do parku, lecz nie włączali się do zastępu swej klasy czy szkoły. Była to stała niewielka grupa pochodząca z różnych zakładów, znana z tego, że nie dbając o inne ćwiczenia, wpraszała się do gry na ósmym boisku. Przyjmowano ich niechętnie, ale nie odmawiano. Byli to uczniowie najstarszych klas, przewyższający umiejętnościami i młodszych i rówieśników, a przyjęci do gry, starali się przede wszystkim grać między sobą. Utkwiły mi w pamięci dwa nazwiska:

Krupa i Sobieniowski, obydwaj świetni „wózkowicze”, których ambicją było przejść jak największą liczbę przeciwników, co nie było rzeczą łatwą, gdy się zważy, że na niewielkiej przestrzeni tłoczyło się od 20 do 50 zawodników, którzy starali się być jak najbliżej piłki. Przepisy? Grało się według „prawa zwyczajowego”. Utarła się zagrywka, którą można by od biedy porównać z rzutem z rogu. Gdy bowiem piłka opuszczała boisko, uderzona ostatnio przez gracza partii broniącej, a odbywało się to w pobliżu bramki, natenczas, po długich sporach, jeden z drużyny atakującej wymierzał od słupka bramkowego wzdłuż trawnika, będącego granicą boiska, pięć niewielkich kroków, a następnie skacząc, aby „kroki” były jak najdłuższe, odliczał trzy takie skoki ku środkowi boiska, aby znaleźć się naprzeciw środka bramki. Odległość od bramki nie wynosiła wtedy więcej jak 3—4 metrów. Do piłki spoczywającej na ziemi podchodził zawodnik najsilniej kopiący i walił ile tylko mógł na bramkę. Ale mimo to zdobycie bramki nie było sprawą prostą. Broniący ustawiali się w bramce i za bramką, czepiali się też poprzeczki. Punkt nie był zdobyty nawet w wypadku, gdy piłka przekroczyła linię bramkową, a została szczęśliwie odbita w locie; dołem przejść nie mogła, bo nie miała miejsca i wracała przez bramkę na pole. Faule nie istniały, popychano się, a czasem i kopano do woli. „Ręka” była wydarzeniem niezmiernie rzadkim, bo „ramię czy łokieć to nie ręka”. Przy nieznanym przepisów instytucja sędziego była zbyteczna i nie znana. O ubraniu i obuwiu sportowym nikt nie myślał. W najbardziej upalne dni grało się w pełnym mundurku uczniowskim, wzorowanym na bluzie oficerskiej austriackiej, ze stojącym sztywnym kołnierzem. Dochodziły do tego przepisowe, zaprasowane, długie spodnie, codzienne trzewiki, a niekiedy nawet (u elegantów) lakierki. O bieliźnie nie wspominam, chyba tylko to, że do normalnego umundurowania należał biały sztywny kołnierzyk, tzw. halsbinda, czyli kauczukowy kołnierz z czarną wstążką na przodzie. Czapki również nie zdejmowano, gry głową nie uznawano, zaś tłok na boisku tak był wielki, że o żadnych taktycznych „kombinacjach” nie było mowy. Bramki jednak padały. Nie często, ale były. Strzelali je gracze, którym udało się wyrwać z gromady, lub też minąć kilku przeciwników „wózkiem”. Chlubę przynosiło nie tyle zdobycie bramki, ile fakt „objechania” tylu i tylu przeciwników. O treningu w ogóle nie słyszano, nie znano najprostszych zasad gry. Nie ulega jednak wątpliwości, że z parku i właśnie może z boiska nr 8 wynieśli gracze krakowscy to, co dało im później długoletnią supremację w polskim sporcie piłkarskim: opanowanie w pewnym stopniu piłki, a nade wszystko wózek (wyrażenie dribbling nie było znane), dwie z podstawowych spraw w piłce, umiejętność jej prowadzenia.

Piłek właściwie u nas podówczas nie wyrabiano. To, czym posługiwano się w parku, było efektem nieudolnych prób krakowskich rzemieślników, nie mających — bo i skąd — pojęcia o rozmiarach i wadze piłki. Toteż przypominam sobie, że gdy byłem w trzeciej klasie gimnazjalnej, od której w program zabaw wchodziła piłka nożna, zastęp nasz otrzymał piłkę, która sięgała mi do kolan. Fotoreporter warszawskiego tygodnika „Świat” uwiecznił moment gry tą piłką na zdjęciu ilustrującym felieton o parku dra Jordana. Piłki naprawiał bez końca Mikołaj i jego pomocnicy, a poważniejsze reperacje

wykonywał przodownik ćwiczącej w niedzielę młodzieży rzemieślniczej Wawrzynkowski, nawiasem mówiąc doskonały gimnastyk.

Dr Tokarski, któremu nie obce były reguły gry, zdecydował się w czasie wakacji 1903 roku na rewolucyjną próbę. Zebrał grupę młodszych uczestników zabaw, wśród których znajdowałem się i ja, i wyprowadził nas z parku na Błonia. Sznurkiem i chorągiewkami wyznaczył przepisowe rozmiarami boisko, a tyczki z taśmą zamiast zwykłej drewnianej poprzeczki oznaczały bramki. Olbrzymie — jak się nam wydawało — boisko, zawrotna wielkość bramek oszołomiła nas. Doktor Tokarski podzielił nas na dwie drużyny i zebrawszy koło siebie tłumaczył nam zasady gry. Miał niezawodnie najlepsze chęci, ale brak dyscypliny niektórych wybrańców spowodował, że po kilku próbach Tokarski zaniechał dalszych usiłowań. Zawodnicy nie stosowali się do jego wskazówek i na wielkim boisku zagrywali według metod parkowych, co po 15 minutach kończyło się zupełnym wyczerpaniem i wylegiwaniem w bramce. Poza tym większość, nie doceniając pionierskich zamierzeń i nie mając dla nich zrozumienia, ulatniała się, nie pomagając przy zwiżaniu sznurków i odnoszeniu chorągiewek i tyczek do parku.

Dopiero czerwiec 1906 roku przyniósł nam rewolucyjny zwrot, dzięki wpływom promieniującym ze Lwowa. W pierwszych latach dwudziestego wieku zawiązało się tam „Towarzystwo Zabaw Ruchowych” przepojone ideałami dra Jordana. Działacze Towarzystwa objęli opiekę nad budowanym i propagowanym przez nich ruchem sportowym. Sprowadzono czeskiego trenera piłkarskiego i lekkoatletycznego zarazem, Vopalecky'ego, który swym podopiecznym wcielał zasady gry w piłkę nożną i lekkiej atletyki. Zapaleńców nie brakło. Już w roku 1903 powstał Lwowski Klub Piłki Nożnej „Czarni”, któremu usiłowała dorównać młodzież IV gimnazjum, stanowiąca załóżek późniejszej „Pogoni”. Towarzystwo dysponowało boiskiem piłkarskim w środku toru kolarskiego za rogatką stryjską. Z pomocą T.Z.R. drużyny piłkarskie zdobyły kostiumy i obuwie. Działacze lwowscy pozostawali w kontakcie z prof. Jordanem i w rezultacie porozumienia w dniu 6 czerwca 1906, w drugi dzień Zielonych Świąt, położono podwaliny pod sport piłki nożnej w Krakowie. Na ten dzień ustalono bowiem zawody piłkarskie pomiędzy Lwowem i Krakowem.

Przez szereg dni poprzedzających tę datę dr Tokarski pouczał kilku starszych przodowników parkowych o najważniejszych przepisach gry. Mieli oni tworzyć krakowską drużynę uzupełnioną kilku innymi zawodnikami. Z pomocą tych chłopców na boisku trzynastym, a więc tym, którego krakowscy piłkarze unikali z powodu trawiastej nawierzchni, wytyczono i wymalowano boisko. Boisko, które wydawało się krakowianom tak wielkie, mierzyło zaledwie 60 × 30 m. Większego nie można było w żaden sposób wykroić. Popołudniowe godziny świątecznego poniedziałku były chmurne, od czasu do czasu przelatywał deszczyk. Pomimo to zaimprovizowane boisko otoczyły bardzo liczne rzesze, przede wszystkim uczniów szkół średnich, kolegów i znajomych krakowskich zawodników.

Już samo pojawienie się piłkarzy lwowskich wywołało poruszenie. Kraków ujrzał po raz pierwszy prawdziwą drużynę piłkarską ubraną w kostiumy piłkarskie. Efekt był nadzwyczajny. Na boisko wyszły dwie drużyny lwowskie:

„Czarni” — w czarnych koszulach z czerwoną szarfą — i drużyna IV gimnazjum w błękitnych koszulkach i czerwonych spodenkach. Drużyna krakowska wystąpiła w świątecznych mundurkach, spacerowych bucikach i oczywiście w czapkach na głowach. Lwowiacy zaofiarowali co prawda swym przeciwnikom zapasowe dresy, lecz oferta została po krótkiej naradzie odrzucona. Przed zawodami wspólna fotografia: prof. Jordan i dr Piasecki, redaktorzy Hemmerling i Kłóśnik ze Lwowa oraz trzy drużyny. Przeciwnikiem drużyny krakowskiej byli Czarni, przodujący wówczas we Lwowie. Sędzią spotkania był dr Piasecki.

Drużyny ustawiły się przepisowo. Ale już po krótkiej chwili porządek drużyny krakowskiej zmienił się w przyjęty w parku chaos. Nikt nie pilnował swego miejsca, uganiano się za piłką po całym boisku. Na rezultaty tego nie trzeba było długo czekać. Czarni nie przyzwyczajeni do miniaturowych wymiarów boiska, powoli opanowali grę i zepchnęli krakowian do obrony. Już wtedy uderzyła widzów wyższość gry zespołowej nad indywidualnymi wyczynami graczy krakowskich. Zdarzało się, że np. Szeligowski mijał wózkiem trzech czy czterech Czarnych, ale kończył się na następnym. Ostatecznie po meczu, który grano tylko dwa razy po 30 minut, aby dać możliwość wystąpienia i drugiej drużynie lwowskiej, wynik brzmiał: 2 : 0 na korzyść Czarnych. Małe rozmiary boiska i zmasowana obrona pod bramką Krakowa utrudniły uwydatnienie przewagi drużyny lwowskiej. Dla drużyny IV gimnazjum szukano przeciwników między znajdującymi się na boisku widzami. Zawody były jeszcze krótsze niż poprzedzające, gdyż zebrana drużyna słuchaczy szkół wyższych i młodzieży rzemieślniczej nie mogła stawić żadnego oporu lwowiakom. Końcowy wynik 4 : 0 na korzyść gości. Kraków przyjął porażkę spokojnie. Już w czasie zawodów widoczna przewaga gości, polegająca na lepszym opanowaniu piłki i myśli w grze, zaimponowała zarówno widzom, jak i samym graczom krakowskim. Tak rozpoczęła się długoletnia rywalizacja Krakowa i Lwowa.

Wpływ tego propagandowego meczu był głęboki, stworzył bowiem podstawy tego, co przez następne długie lata stanowiło dumę sportowego Krakowa. Sukces propagandowy zrealizował się już w 24 godziny później. We wszystkich szkołach średnich powstawały „kluby”. Każda niemal klasa, począwszy od czwartej po ósmą, tworzyła sobie drużynę, co w ogólnym pojęciu było równoznaczne z klubem. Park nie mógł pomieścić wszystkich garnących się do piłki. Dr Jordan z żalem stwierdził, że park pustoszeje, gdyż zapaleńcy przenieśli się na Błonia, gdzie wytyczono kilka boisk. O sprzecznie na razie nie myślano. Jediną nowością było zdejmowanie bluz, ale utrzymały się spodnie i codzienne trzewiki. Bramki miały przepisową szerokość, lecz tylko szerokość, gdyż zazwyczaj oznaczone były czapkami, rzadziej zaś niewysokimi chorągiewkami. Codziennie widać było na Błoniach setki ćwiczących. Rozgrywano zawody między klasami, między szkołami. Trwało to do czerwca, albowiem z nastaniem wakacji piłkarze znikali, jak kamfora. Niedobitki, które pozostały w Krakowie, nie myślały o powrocie do dawnego stanu. Przełamywano odrębności klas i zakładów szkolnych. Łączono się w drużyny bez względu na przynależność szkolną. W ten sposób zawiązała się drużyna, która stała się później kośćcem „biało-czerwonych”, czyli dzisiejszej Cracovii. Drużyna ta rozegrała w sierpniu 1906

roku mecz z drużyną pracowników bawiącego w Krakowie olbrzymiego amerykańskiego cyrku Buffalo Bill. Zatrudnieni w tym cyrku Anglicy zorganizowani byli w stałą drużynę piłkarską, która przy każdej nadarzającej się sposobności gotowa była do zawodów. Grała więc i wygrała we Lwowie, a zobaczywszy na Błoniach, gdzie cyrk rozbił namioty, kopiących piłkę, zaproponowała rozegranie meczu. Następnego dnia doszło do spotkania, które zakończyło się sukcesem krakowian w stosunku 1 : 0. Jedyną bramkę strzelił Szeligowski. Zawody miały charakter dość burzliwy, gdyż cyrkowcy używali i nadużywali siły fizycznej, którą górowali nad krakowskimi uczniami. Zwycięstwo skonsolidowało jeszcze bardziej drużynę składającą się z uczniów prawie wszystkich średnich szkół Krakowa, a że zespół miał w swym gronie część najlepszych piłkarzy, nic dziwnego, że utrzymał prymat także po zakończeniu wakacji i rozpoczęciu roku szkolnego. Zespół ten był pierwszym i najstarszym zespołem piłkarskim Krakowa, gdyż inne zaczęły się tworzyć później.

Powracający do Krakowa amatorzy piłki, których zapał nie ulotnił się w czasie dwóch miesięcy wakacji, stwierdzili, że namnożyło się wielu „zdrajców”, którzy przeszli do klubów innych szkół. W tym stanie rzeczy trzeba było myśleć o tworzeniu nowych zespołów. Utrzymały się jeszcze przez pewien czas drużyny szkolne, ale nie dane im było przeżyć jesieni tego roku. Młodzież akademicka podjęła ćwiczenia równocześnie z uczniami szkół średnich, a że ze skompletowaniem jedenastki były trudności, chętnie przyjmowano gimnazjalistów. W ten sposób uzupełniłem i ja wraz z kilku kolegami z gimnazjum Sobieskiego drużynę uniwersytecką. Byliśmy niezłymi zawodnikami, ale właśnie z tego powodu nie lubiano nas na Błoniach. Drużyna uniwersytecka, z niewiadomych mi jeszcze i do dziś przyczyn, była na Błoniach niepopularna, toteż docinki pod naszym adresem: „o patrz jaki akademik”, były na porządku dziennym. Być może, że brać gimnazjalna niechętnie patrzyła na starszych, którzy opuścili już ławy szkolne i trzymali się na uboczu. Tym nie mniej pęd do sportu zaczął się konsolidować, nabierał rumieńców, ćwiczącym przyglądały się codziennie setki widzów i to nie tylko uczniów. Ukazały się na Błoniach pierwsze gołe kolana, które stały się przedmiotem troski rodziców, a zarazem kamieniem obrazy dla części społeczeństwa krakowskiego, widzącego w tym grube naruszenie zasad wstydlivosti i moralności. Tak się bowiem stało, że pewnego dnia postanowiliśmy ze Staszkiem Szeligowskim (byliśmy wtedy przeciwnikami sportowymi, należąc do rywalizujących drużyn) przeprowadzić trening w krótkich spodniach. Szeligowski obciął spodnie gimnastyczne, ja zaś poświęciłem w tym celu chyba najlepsze spodnie wyjściowe. O tym, co się działo w domu, lepiej nie wspominać. Nazajutrz podchodzi do mnie Staszek i zapytuje „no, jak tam”. W odpowiedzi ściągnąłem długie spodnie, co widząc, Szeligowski czyni to samo. Na Błoniach sensacja, ale przykład podziałał tak zaraźliwie, że po kilku dniach nie widziało się piłkarza w długich spodniach.

Początek września stanowi nową erę piłki nożnej w Krakowie. Prof. Jordan, pionier tego ruchu, pozostał na uboczu, bolejąc, że młodzież porzucając ćwiczenia w parku przeszła na Błonia. Faktem jest, że do końca życia nie ukazał się na Błoniach i nie był obecny na żadnym meczu. Pojawia się wówczas na widowni dr Tadeusz Konczyński, znany już wtedy literat. Po dłuższym

pobycie w Anglii, gdzie poznał zasady i ducha sportu, ujął w swe ręce kierownictwo samorodnych zespołów i stał się tym samym mężem opatrnościowym żywiolowego ruchu. Do pomocy przybrał sobie kilka osób z „akademików” i przodującej drużyny piłkarskiej. Już po wyjeździe Konczyńskiego z Krakowa stwierdzono, że był on w kontakcie z Lwowskim Towarzystwem Zabaw Ruchowych, które rzekomo finansowało jego starania. Mimo, że spotykaliśmy się codziennie, ani ja, ani też nikt w Krakowie o tym nie wiedział, ani nie słyszał. Dr Konczyński nigdy też o T. Z. R. nie mówił.

Jednym z pierwszych jego poczynań było zorganizowanie turnieju piłkarskiego, do którego zgłosiło się 16 „klubów”, składających się przeważnie z 11 do 15 zawodników.

Jeszcze przed rozpoczęciem rozgrywek turniejowych akdemicy doszli do przekonania, iż zespołowi należałoby nadać nazwę. Do dnia dzisiejszego z emocją wspominam fakt, że gdy przy sposobności dyskusji na ten temat ja, najmłodszy między obecnymi, nieśmiało wystąpiłem z wnioskiem nadania klubowi nazwy Cracovia dyskusja zakończyła się natychmiast. W ten sam dzień „pieczętowaliśmy się” już pełnym brzmieniem: „Akademicki Klub Footballowy Cracovia”. „Akademicki”, mimo że poważną część zawodników stanowili uczniowie szkół średnich, a i sam ojciec chrzestny był uczniem ósmej klasy gimnazjum Sobieskiego. W jakiś czas później i inne zespoły zaczęły przyjmować oficjalne nazwy.

Tymczasem dr Konczyński przystąpił do umundurowania drużyn. Jako najstarsza, a poza tym przewidziana również na wyjazd do Lwowa na rewanżowe zawody, otrzymała wyekwipowanie drużyna, której kapitanem był Szeligowski i która miała za sobą zwycięski mecz z Bufallo, a prowadziła także w tabeli turnieju. Wybrała ona za poradą Konczyńskiego barwy białoczerwone (nie należy zapominać, że działo się to pod zaborem austriackim) i od tego czasu białoczerwoni podbijali serca publiczności krakowskiej. W kolejności otrzymała koszulki Cracovia. Związana nazwą z miastem, zamieniła używane białe koszulki gimnastyczne, przepasane niebieską szarfą, na niebieski dres z białą szarfą, którą zarzucono, gdyż przeszkadzała w grze.

W języku używanym na Błoniach rzadko słyszało się nazwę Cracovia — popularniejsza była nazwa „Akademicy”, a często padało też powiedzenie „idą blacharze”, gdyż i tak nas nazywano ze względu na ciemnoniebieski kolor naszych koszul. Następna była „Drużyna Jenknera” założona i kierowana przez Jenknera. Miała ona czerwone koszule z pięcioramienną niebieską gwiazdą na piersi. Po ukostiumowaniu przyłgnęła do niej nazwa „Czerwoni”. Ostatnią jednostką odzianą przez dra Konczyńskiego była drużyna uczniów II Szkoły Realnej, którą od nazwiska jej kapitana nazywano drużyną Szkolnikowskiego. Wybrał on barwy jasnobłękitne z kółkiem półczarnym półbłękitnym na lewej piersi i nazwę „Wisła”. Białoczerwoni nie myśleli o nazwie dla siebie. Przerywając gry turniejowe, wyjechali na rewanż do Lwowa, który przyniósł zarówno im, jak i wszystkim piłkarzom krakowskim pełną satysfakcję za porażkę w Krakowie. Zachowując całkowitą przewagę wygrali z Czarnymi 1 : 0. Ponieważ dla zwycięskiej drużyny przeznaczony był dyplom, a nie chciano wpisać nazwy „białoczerwoni”, przeto dr Konczyński, nie namyślając się długo, polecił

wpisać nazwę „Mazur”. Faktem jednak jest, że o tej nazwie mało kto w Krakowie wiedział i nie używano jej nigdy. Biało-czerwoni byli i pozostali na razie biało-czerwonymi.

Jak już z powyższego wynika, najstarszym klubem krakowskim, a raczej najstarszą drużyną krakowską, był Mazur, który powstał w miesiącach letnich 1906 roku. Po nim pojawiła się Cracovia, potem Czerwoni i wreszcie drużyna Szkolnikowskiego — Wisła. Były wprawdzie usiłowania, aby tę kolejność zmienić, ale usiłowania te nie mogły zmienić stanu faktycznego.

Poza wyjazdem do Lwowa zorganizował dr Konczyński propagandowe zawody w Tarnowie, dokąd wyprawił się z Mazurem i Cracovią. Trudno byłoby mówić, że mecz spełnił zadanie. Wokół olbrzymiego boiska (150 × 120 m) zobaczyliśmy zaledwie kilkunastu uczniów i kilku oficerów austriackich konno. Mimo to turniej biegł. Codziennie grano dwa, trzy mecze. Sędziował przeważnie dr Konczyński, który zamiast gwizdka używał trąbki konduktorskiej. Sędzia nie był jednak wtedy zbyt ważną figurą. Na ogół grano bardzo fair, chociaż trafiało się podłożenie nogi, uderzenie piłki ręką, ale przepis o spalonym był — można powiedzieć — jeszcze nieznany. Już późną jesienią kończono turniej, przy czym ze względu na spóźnioną porę rozgrywki przeprowadzały tylko drużyny, kandydujące do pierwszych miejsc. Ostatecznie w turnieju o charakterze mistrzostwa, gdyż każdy grał z każdym po dwa razy, pierwsze miejsce zajęli biało-czerwoni, którzy poza jednym remisem z Cracovią mieli na swym koncie same zwycięstwa. Drugie miejsce zajęła Cracovia, trzecie Czerwoni, czwarte Wisła, piąte obiecująca drużyna gimnazjum św. Jacka. W turnieju brała udział również drużyna rzemieślnicza, właściwie bez nazwy, która następnie utrzymywała się długie lata w rzędzie niezłych klubów Krakowa. Jej założycielem i kapitanem był robotnik Pokój.

Tak zakończył się rok 1906, będący datą powstania piłkarstwa krakowskiego, które miało objąć na długie lata prymat w polskim sporcie futbolowym. W tym też roku zaczęła interesować się sportem spora garść publiczności.

Zima 1906 miała przynieść próbę siły i hartu młodych zapaleńców. Dr Konczyński wyjechał z Krakowa. Oznaczało to, że drużyny piłkarskie utraciły człowieka, który był ich jedynym oparciem. Na wiosnę 1907 doszli piłkarze do przekonania, że przede wszystkim muszą się skonsolidować wewnętrznie, jeżeli chcą trwać nadal. Wystąpiła wtedy Cracovia do biało-czerwonych z propozycją fuzji obu klubów, co się też wkrótce stało. Na wspólnym zebraniu przyjęto nazwę „Klub Sportowy Cracovia” i przejęto barwy Mazura. Na pierwsze więc treningi wiosenne wyszła Cracovia w biało-czerwonych dresach, które stały się ulubionym kolorem ogromnej części sportowego Krakowa. Wkrótce potem za wzorem Cracovii poszli Czerwoni i Wisła. Powstało „Towarzystwo Sportowe Wisła” w barwach czerwonych. Te fuzje były chyba najważniejszym wydarzeniem w życiu sportowym Krakowa, gdyż poza tym panował zupełny zastój, który mógł załamać nawet najbardziej upartych. Monotonię przerwał wyjazd Cracovii do Lwowa, gdzie pierwszego lipca 1907 roku, w trzecim dniu jubileuszowego zlotu Sokoła Macierzy rozegrała mecz z Czarnymi. Rezultat był dla biało-czerwonych katastrofalny, przegrali 4 : 1. Na usprawiedliwienie drużyny krakowskiej trzeba podać, że w przeciwieństwie do lwowiaków będą-

cych pod opieką czeskiego trenera, krakowiacy nie mieli odpowiedniej zaprawy. Kopano wprawdzie piłkę kilka razy w tygodniu, nie było jednak lokalnych przeciwników, a o sprowadzeniu drużyn zamiejscowych nie można było myśleć.

Wrzesień był świadkiem wydarzenia, które jednak szybko przeminęło nie pozostawiając śladu. Oto Wisła, słabsza organizacyjnie, przyłączyła się do Cracovii jako jej druga drużyna, ale po kilku tygodniach zerwali Wiślacy umowę i usamodzielnili się ponownie.

Tej jesieni doszło do kilkakrotnych zawodów z Wisłą, rozegranych w parku na zielonym, a więc małym i ciasnym boisku. Zawody te zrealizowano, dawały bowiem jedyną możliwość zarobienia nieco grosza dla kas klubowych. Niestety pogoda nie dopisała a wpływy kasowe były minimalne, pomimo że mecze piłkarskie poprzedzano zawodami, a raczej pokazami lekkoatletycznymi, w których startowali piłkarze, osiągając mimo braku treningu wcale dobre jak na owe czasy rezultaty.

Swoją karierę piłkarską zacząłem jako prawy łącznik, ale niedługo potem cofnięto mnie do pomocy. Tu grałem początkowo jako prawy, ale okazało się, że właściwa moja pozycja jest dzięki wytrzymałości a także szybkości w środku pomocy. I tak było do roku 1908. Wczesną wiosną, gdy rozpoczęto kopać, okazało się, że Cracovia nie ma bramkarza. Próbowano na tej pozycji różnych własnych i obcych zawodników, ale żaden z kandydatów jakoś nie mógł zadowolić. W pewien dzień stanąłem na kilka chwil — tak mi się przynajmniej zdało — w bramce i... wsiąknęłam. Te kilka minut rozciągnęło się na kilka lat. Z bramki już się na czas mej kariery piłkarskiej nie wyzwoliłem.

W klubie pojawił się nowy zawodnik, któremu bezsprzecznie zawdzięczaliśmy bardzo wiele. Do szkoły języków obcych Berlitz'a przyjechał jako nauczyciel języka angielskiego młody, bardzo przystojny William Benjamin Calder. Zaawizowano mi jego osobę, w następujący sposób: słuchaj, Józek, jest w Krakowie taki Anglik, chce grać w piłkę, nazywa się jakoś Kołdra czy coś podobnego. Wiadomość tę przyjąłem dość sceptycznie. Już w ubiegłych latach zgłaszali się do nas obcokrajowcy, opowiadając cuda o swych umiejętnościach, o przynależności do najlepszych klubów kontynentu. Ale już pierwsze zetknięcie się z piłką wykazywało, że jedyną umiejętnością tych amatorów był bardzo kiepski język polski i — u niektórych, lecz tylko niektórych — pewne wiadomości teoretyczne. Ale z Calderem było inaczej. Kiedy przyprowadzono go do nas, poznaliśmy już po kilku uderzeniach, że facet umie kopać i czyni to nie tylko nie gorzej, lecz lepiej niż wielu z nas. Taki był początek kariery tego piłkarza w Cracovii. Jak się potem pokazało, poczuł on i do nas, i do naszych barw sympatię, która później zamieniła się w prawdziwe koleżeństwo i prawdziwe przywiązanie do klubu. Pewnego dnia Szeligowski przyprowadził na trening Karola Justa. Czech, chłopak w naszym wieku, osiedlił się ze szwagrem w Krakowie, gdzie obaj byli pracownikami a następnie współwłaścicielami zakładu litograficznego. Lolek był lewym skrzydłowym i zasłynął później swymi „falszeryzami” tj. strzałami uderzanymi z nadaniem piłce zjadliwego fałszu. Wraz z Calderem przyszedł do nas i drugi Anglik — Dawson. Był dobrym nauczycielem angielskiego, lecz o piłce miał pojęcie słabe chociaż znał

przepisy i był bardzo dobrym sędzią piłkarskim, nie umiał kopać. Najciekawszy w tym wszystkim był fakt, że będąc na obczyźnie i zdani w Krakowie właściwie tylko na siebie, obaj Anglicy nie znosili się i unikali swego towarzystwa nawet w klubie.

Calder oświadczył, że jest środkowym napastnikiem i w tym charakterze grywał początkowo w naszej drużynie. Szybko jednak doszliśmy wspólnie do przekonania, że nadaje się raczej do obrony i to na prawej stronie; lewa noga w znaczeniu piłkarskim była gorsza niż prawa, a ponadto w ówczesnym ataku, odznaczającym się znaczną szybkością, był Calder wedle naszego przekonania zbyt powolny. Sam Calder, który szturmem zdobył nasze serca, uznał, że decyzja była słuszna i wkrótce okazało się, że na tej pozycji był bezkonkurencyjny.

Wiosna 1908 roku przyniosła w życiu klubu poważną i jak nam się zdawało korzystną zmianę. W Krakowie istniał od dłuższego czasu Krajowy Związek Turystyczny (K. Z. T.). Do zarządu tego towarzystwa, które trudniło się głównie sprzedażą biletów kolejowych, należeli starsi panowie o dużych wpływach, lecz w gruncie rzeczy bardzo niewiele interesujący się turystyką. Sekretarzem Związku był gładki, dobrze ubrany, wymowny, spryciarz. w średnim wieku — Zygmunt Rosner. Nie interesując się sportem wyczuł jednak, że ruch sportowy ma przyszłość i że przyszłość rokuje niezłe perspektywy finansowe. Nie tajne mu było, że krakowska piłka — sport był dla niego jednoznaczny z piłką nożną — nie ma organizacyjnego oparcia i że ta właśnie okoliczność, w połączeniu z brakiem środków materialnych, stanowi główną przeszkodę rozwoju tego sportu. Zwrócił się więc do Cracovii z propozycją, abyśmy przystąpili do mającej się utworzyć przy Krajowym Związku Turystycznym sekcji sportowej. Po kilkakrotnych konferencjach, w których występowaliśmy razem z Millerem, postanowiliśmy na zebraniu klubowym do sekcji sportowej przystąpić. Pan Rosner przedstawił nam tak oszałamiające plany poparcia i pomocy — kupno inwentarza sportowego, budowa boiska, czyli stadionu itp. — że uwierzyliśmy zapewnieniom i zabraliśmy się z zapalem do ćwiczeń. Za naszym przykładem zgłosiła się po pewnym czasie do sekcji także i Wisła i inne istniejące w tym czasie drużyny sportowe.

Nawiązano co rychlej kontakt z lwowską Pogonią, w rezultacie czego odbyło się w Krakowie spotkanie na boisku w obrębie toru wyścigów konnych. Wymagało to żmudnych przygotowań, gdyż dziewiczy czarnoziem nie chciał się poddać wałowaniu. Po raz pierwszy w Krakowie ustawiono przepisowe bramki, a nawet założono — zdaje się również po raz pierwszy na terenie Polski — siatki bramkowe, które trzeba było skombinować z siatek tenisowych. Mecz piłkarski poprzedziły pokazy lekkoatletyczne drużyny lwowskiej (rzut dyskiem, oszczepem, skok o tyczce). Publiczności zebrało się sporo, sukces kasowy był niewątpliwy, na co wskazywała tryumfująca mina Rosnera. Wynik zawodów 1:1. Gra toczyła się przy przewadze biało-czerwonych, a bramka uzyskana przez Pogoń, była zasługą nie tyle graczy lwowskich, ile krakowskiego bramkarza, tj. moją: oto przy wybiegu z bramki i próbie odbicia piłki nogą, zamiast w piłkę uderzyłem w jedno z kretowisk, których nie brakło mimo wałowania boiska. W każdym razie zawody spełniły swe zadanie pod względem propagandowym. Obok licznych, stale asystujących nam widzów

z Błoń, zjawiała się publiczność z tak zwanych „eleganckich sfer”, które następnie były już stałymi bywalcami na naszych meczach.

Rewanżowe spotkanie we Lwowie przyniosło nam pechową porażkę. Przeważając przez cały przeciąg meczu, przegraliśmy 0 : 1 samobójczą bramką. Na tym skończyły się jednak starania K. Z. T. Trenowało się bardzo pilnie i z niecierpliwością oczekiwaliśmy spotkań z przeciwnikami. Ale niezrozumiały brak zainteresowania ze strony Związku, który posiadał duże stosunki i poza granicami Galicji, stanowiły przeszkodę, której w danej chwili nie można było pokonać.

Osobista znajomość Caldera z angielskim zawodnikiem Sportowego Klubu Opawskiego („Troppauer Sportclub”) dała okazję do pierwszego występu Cracovii na zagranicznym boisku. Szkoda tylko, że graliśmy tylko w dziesiątkę i to już w dwie godziny po dość uciążliwej podróży. Rezultat wypadł odpowiednio ujemnie — przegraliśmy 1 : 4. Jednak opawiacy niedługo cieszyli się swym sukcesem. Rozegrany w Krakowie rewanż dał biało-czerwonym wygraną 5 : 2. Zawody na zaimprovizowanym boisku na Błoniach zgromadziły liczne rzesze publiczności, entuzjastycznie oklaskującej zwycięstwo Cracovii, która już wtedy mimo nielicznych występów była jej pupilkiem. Ta sympatia miała już odtąd przez dziesiątki lat towarzyszyć i pomagać w pracy i wynikach naszemu klubowi.

Nie ulega wątpliwości, że wpływy za bilety wstępu na wspomniane wyżej mecze były dość poważne, ale zainkasował je Związek, który absolutnie w niczym nie pomógł klubowi. Własną pracą i niemalym wysiłkiem urządziliśmy boisko i bramki z siatką, teren zawodów otoczono w dużym promieniu sznurami naciągniętymi na powbijane pale, wzdłuż linii bocznych na wbitych słupkach umocowano deski i w ten sposób powstały miejsca siedzące. Cały trud wykonania tego wszystkiego w sobotę i niedzielę przed południem spoczywał na zawodnikach, którzy w niewiele godzin po ukończeniu pracy mieli się zmierzyć z przeciwnikiem. Finansowo nie uzyskaliśmy nic, ale sukces sportowy i świadomość poparcia przez publiczność stanowiły kapitał w pełni przez nas doceniany. Ten właśnie kapitał moralny był w dużej mierze bodźcem, przyczyniającym się do wybitnego wzrostu poziomu naszej drużyny tak pod względem sportowym jak i ideowym. Nadal jednak walczyliśmy z brakami. Tak więc używana życzliwie w pawilonie parku szatnia była ciasna i wilgotna. Kostiumy prało się w domu a niedostatki inwentarza były wprost żenujące. Calder np. trenował najczęściej w swych „cywilnych” trzewikach, a ja, odbywając z konieczności trening w butach Anglika, noszących nr 45, musiałem je przywiązywać do stopy, bowiem obuwiu moje miało nr 39. Trudności pokonywaliśmy z pełnym sportowym animuszem, zdając sobie sprawę, że spełniamy niewdzięczną pracę pionierską.

Program jesieni 1908 ograniczył się do spotkań Cracovia — Wisła. Ten sezon przyniósł mnie osobiście istną rewelację. A było to tak. Późną jesienią zdołano ściągnąć do Krakowa najlepszą drużynę śląską — naturalnie niemiecką — „Sportclub Diana” z Katowic. Okazała się ona przeciwnikiem niezbyt silnym dla występującej przeciw niej reprezentacji Krakowa, w której większość stanowili gracze biało-czerwonych. Bramka Niemców była stale oblężona,

ale bramkarz Stephan odpierał wszystkie ataki i najtrudniejsze strzały. Zdemontował nam po raz pierwszy styl gry bramkarza z prawdziwego zdarzenia i pokazał jak należy chwycić piłkę na piersi. Wygrał wprawdzie Kraków, różnicą trzech bramek, ale uznanym bohaterem spotkania był Stephan. Już dzień później Calder, który już wcześniej wspominał o tym sposobie obrony, rozpoczął systematyczny trening ze mną w tym kierunku i wkrótce mogłem się pochłubić, że byłem pierwszym w Polsce bramkarzem, który chwyt ten opłacał.

Wiosna w 1909 roku była dalszym ciągiem zmagania ze Związkiem Turystycznym, a właściwie Rosnerem, który był dla nas ucieleśnieniem Związku. Jak dotychczas, K. Z. T. nie użył nam dosłownie żadnej pomocy, natomiast inkasował pilnie nasze wpływy. Gwoździem sezonu był dwukrotny występ lwowskich Czarnych, którzy niedługo przedtem odbyli tournée po Czechach. Sukcesy ich były mniej niż skromne, gdyż zawody z silnymi czeskimi drużynami przyniosły im porażki, lecz pozwoliły zobaczyć piłkę w dobrym wydaniu i wzbogacić własne umiejętności. Czarnych uznawano za najlepszą galicyjską drużynę, lecz spotkania w Krakowie doprowadziły do zmiany tej opinii. Wisła, która grała z Czarnymi w pierwszy dzień, uzyskała rezultat 4 : 4, a białoczerwoni rozgromili lwowian w następny dzień wynikiem 5 : 0. Rewanż we Lwowie zakończył się również zwycięstwem Cracovii 4 : 3. Plon wiosny nie był bogaty materialnie, ale przyniósł jednak nam bezcenną korzyść, która klubowi zrzucała plony przez długie lata, a może nawet jeszcze do dnia dzisiejszego: oto Cracovia stała się pupilem Krakowa, zdobywając ogromne rzesze publiczności. Dla zawodników popularność przybierała częstokroć niemiłe formy. Gdziekolwiek się ukazywali, towarzyszyło im grono, nieraz spore, młodocianych wielbicieli.

Bardzo ostrej niejednokrotnie rywalizacji między krakowskimi klubami dawano wyraz nierzadko w rymach, np.:

Krakowija — kawał kija,
Pies zdech — leży niech

(pisownia oryginalna). Poza tym kursowały wierszyki o wszystkich naszych zawodnikach. I tak o Jacheciu, lewym obrońcy, wysokim a bardzo szczupłym, śpiewano:

A jak są zawody lekkiej atletyki
to jeden z obrony służy im za tyki.

A oto rym na moją cześć:

A bramkarz Lustgarten
Ten skacze po bramie
Jak małpa po klatce
W podartej panamie.

Widocznie w słomkowym kapeluszu, stale noszonym przeze mnie pod pachą, dostrzeżono dziurę i uwieczniono w „poezji”.

Przypominam sobie, że w innych poematach Miller, mający nieco kawalerskie nogi, występował jako „ogór z krzywymi nogami”, a Szeligowski jako „ogier” z uwagi na swą szybkość. Całości tych utworów nie pamiętam i nie mogę niestety przekazać ich potomności.

Uchodzę za bramkarza, który pierwszy w polskich drużynach przy obro- nie strzałów zastosował tak zwaną w języku sportowym robinzonadę, polegającą na chwytaniu piłki — idącej nisko i z dala od bramkarza — przez szybkie rzucenie się na ziemię w odpowiedniej chwili. Pytano mnie nieraz skąd się to wzięło. Myślę, że stało się to zupełnie bezwiednie. Nie mogąc dosięgnąć piłki w inny sposób, starałem się przyciągnąć ją ruchem opisanym wyżej, a doceniając dodatnie strony tego chwytu, używałem go ilekroć zaszła tego potrzeba. Dopiero od Justa dowiedzieliśmy się, że na zachodzie istnieje taka obrona, stosowana przez niektórych bramkarzy, a zapoczątkowana przez angielskiego bramkarza — Robinsona. Dzisiaj nie można sobie wyobrazić bramkarza bez „robinsonowania”, a niektórzy, zwłaszcza młodzi, nadużywają w niepotrzebnych sytuacjach tej efektownej parady.

W lecie tego roku przypomniał sobie pan Rosner o sekcji sportowej. Podczas wakacji zaaranżował wyjazd pełnych drużyn Cracovii i Wisły na zawody do Zakopanego. Wyjechaliśmy w sobotę po południu pociągiem z Krakowa i przyjechaliśmy późnym wieczorem do Zakopanego, gdzie zaprowadzono nas do „Klemensówki”, dużej willi, należącej do profesora Piaseckiego, prezesa lwowskiej Pogoni. W Zakopanem pełny sezon i naturalnie Klemensówka przepełniona. Po bardzo skromnej wieczerzy powiedziano głodnym, a więc złym zawodnikom, że będą nocować na strychu. Miny nam mocno zrzędy, zwłaszcza gdy wydrapawszy się po drabinie na strych, legliśmy na cieniutkiej warstwie siana. O takim luksusie jak prześcieradło, koc, czy poduszka — ani myśleć. Noc pogodna a więc zimna. Na strychu zaduch od nagrzanego dniem dachu i siana. Po godzinie bezsennego przewracania się z boku na bok zdecydowaliśmy z Szeligowskim resztę nocy spędzić na ławce w ogrodzie. W letnich ubraniach, bez żadnego okrycia wierzchniego, usiedliśmy na ławce, tuląc się do siebie i szcękając zębami z zimna. Wkrótce jednak oblały nas zimne i gorące na przemian poty. Dwa olbrzymie brytany, stróżujące w ogrodzie i spuszczone na noc z łańcucha, groźnie warcząc i szczerząc zęby zaczęły nas obwąchiwać. Widocznie jednak zaślezyliśmy na zaufanie, bo oddaliły się po chwili. W ciągu nocy podchodziły jeszcze do nas kilkakrotnie, lecz przekonawszy się, że nie mamy złych zamiarów, poprzestawały na ostrzegawczym warczeniu. Kiedy o świcie dozorca brał brytany na łańcuch, nie mógł się nadziwić, że wyszliśmy zdrowo i cało z nocnej przygody. Ale i reszta zawodników spędziła noc przeważnie bezsennie. Można sobie wyobrazić w jakich humorach zebraliśmy się przy śniadaniu, które było naprawdę bardzo skromne i nie mogło zaspokoić apetytów głodnych i niewyspanych młodych chłopców. Po śniadaniu wyszliśmy na wizję lokalną boiska, gdzie miał się odbyć mecz i pokaz lekkoatletyczny. Okazało się, że wyznaczono na ten cel kort tenisowy o wymiarach około 22 m długości i 12 m szerokości. Z trudem wyszukano cztery chorągiewki, które miały oznaczać bramki. Dupożyczyliśmy z murawy kilka metrów na długość, trochę na szerokość i „boisko piłkarskie” było przygotowane. Po wspólnej na-

radzie obu drużyn uchwalono, że w tych warunkach nie będziemy traktować meczu poważnie i grę prowadzić będziemy po sześciu graczy z każdej strony, przesądziłyśmy wynik jako remisowy z tym, że jeśli jednej z drużyn uda się strzelić bramkę (bramki były o połowę od normalnych węższe), przeciwnik będzie obowiązany nie przeszkadzać w wyrównaniu. Tylko Miller sprzeciwiał się tej uchwale. Przyczyna tkwiła w tym, że w Klemensówce bawiła właśnie jego znajoma, przed którą chciał się popisać. Obiad był nie lepszy jak śniadanie, bractwo wściekłe. I wreszcie zawody. Na widowni — a więc z boku obok kortu — ustawiono krzesła. Zebrało się może 50 osób. Rosner popatrzył i znikł. Obiecująco rozpoczęły się konkurencje lekkoatletyczne. Przy rzucie dyskiem omal nie doszło do tragicznego wypadku. Rogalskiemu „wypnął się” dysk z ręki i przeleciał dosłownie o milimetry od głowy gminnego policjanta, którego zadaniem było odpędzać bezpłatnych widzów. Publiczność przyjęła to śmiechem, nie zdając sobie sprawy z możliwych następstw. Po tych konkurencjach rozpoczęto mecz. Miller rzecz traktował serio, toteż wkrótce uzyskał bramkę. Wiślacy mieli słuszne pretensje, a my ze swej strony staraliśmy się wybić Millerowi z głowy jego popisy. Bezskutecznie. Gdy więc strzelił drugą bramkę, pilnowano go starannie. Gdy tylko udało mu się dojść do piłki, rzucały się na niego zgodnie obie drużyny. Gorzej, że Czerwonym nie wychodziły strzały na moją bramkę. Aby dotrzymać układu, musiałem im pomóc, wpychając piłkę dwukrotnie do własnej bramki. Rychło zarówno nam, jak i publiczności zabawa się znudziła, przeto ogłosiliśmy koniec.

Niecierpliwie oczekiwaliśmy kolacji w przekonaniu, że po całodziennym przebywaniu na świeżym, górskim powietrzu zostaniemy odpowiednio ugośczeni. Po dłuższym oczekiwaniu aż goście pensjonatowi ukończą wieczerę podano nam resztki niedzielnej kolacji. Tu już ogarnęła nawet najbardziej opanowanych wściekłość. Odszukaliśmy w restauracji Morskie Oko Rosnera, który po awanturze zaprowadził nas do Karpowicza, gdzie można było zaspokoić pierwszy głód. Nocą powróciliśmy do Krakowa.

Jesień 1909 roku można uznać za konkretny początek samoistnego bytu krakowskich klubów. Z uwagi na trwałą marazm Związku Turystycznego, zgłosiliśmy oficjalnie wystąpienie. W odpowiedzi domagano się od nas zwrotu inwentarza, tj. siatek bramkowych i bramek, oraz zwrotu wyłożonych kosztów z zagrożeniem dochodzenia sądowego, my zaś ze swej strony zażądaliśmy rozliczenia wpływów i rozchodów. Nie doszło do tego, bo pan Rosner wolał przejść w milczeniu nad tą drażliwą sprawą. Rozpoczęliśmy więc samodzielne bytowanie w nieświetnych warunkach, przy czym aktywa nasze kasowe wynosiły zaledwo kilkadziesiąt koron. W zapasie mieliśmy jednak jeszcze jedną pozytywną pozycję: ufność w poparcie publiczności. Kalkulacja okazała się słuszną — szczęście towarzyszyło grupie młodych zapaleńców a w niedługim czasie sekcja K.Z.T. zakończyła swój krótki żywot.

Mimo, że zabraliśmy się z wielkim opóźnieniem do układania programu, sezon jesienny przewyższył ilością urządzanych przez nas zawodów cały okres, który właściwie beczynnie straciliśmy w sekcji sportowej. Pierwszy mecz rozegrany na Błoniach ugruntował nasze istnienie. Pierwszym naszym przeciwnikiem był Bielitz Bialaer Sportverein. Cudowna wrześniowa pogoda i odpo-

wiednie zareklamowanie drużyny bielskiej, cieszącej się dobrą opinią w monarchii austriackiej, ściągnęły na Błonia znaczną falangę widzów. Zwycięstwo nasze 5 : 0, przyjęte z ogromnym aplauzem, oraz odpowiedni wpływ kasowy oznaczały szczęśliwy start w samodzielnym bycie. Rozegrany w Bielsku rewanż dał nam tylko remisowy wynik 1 : 1, lecz warunki, w jakich wynik ten był osiągnięty, świadczyły, że stanowimy drużynę, która i w najbardziej nieprzyjających okolicznościach, potrafi zachować sportową postawę. Nad tymi zawodami wypada się nieco zatrzymać. Bielsko, poważny ośrodek przemysłowy, było opanowane przez Niemców, którzy odnosili się wręcz wrogo do Polaków, stanowiących zwartą masę ludności zamieszkującą w Białej i przeważnie zatrudnioną w fabrykach w Bielsku. Rewanżując się za gościnę w Krakowie, przyjęto nas bardzo uprzejmie. Z szatni, znajdującej się w śródmieściu, przewieziono nas wspaniałymi powozami, oddanymi przez bogatych fabrykantów do dyspozycji klubowi bielskiemu na boisko, bardzo zresztą prymitywne, na peryferiach miasta. Po zawodach, w czasie których padały ze strony części wrogo nastawionej publiczności niemiłe okrzyki, powozów nie było. W ten sposób zademonstrowano nam niechęć, że nie daliśmy się pobić, gdyż w Bielsku liczone się z pewnym i do tego wysokim zwycięstwem swej drużyny. Dość długo czekaliśmy na boisku, aby nam umożliwiono powrót do szatni, aż wreszcie zdecydowaliśmy się przejść przez miasto piechotą w strojach, w których występowaliśmy na boisku. Prowadziła nas grupa polskich widzów. W pewnej chwili, już na ulicach miasta, zaczęliśmy śpiewać piosenkę marszową. Otoczyła nas większa grupa ludzi spacerujących w niedzielny wieczór po ulicach. Nasze barwy i polska pieśń zostały zrozumiane jako polska narodowa demonstracja. Towarzyszący nam tłum odpowiedział śpiewem „Deutschland über Alles”, a wtedy, rzecz prosta, my nie pozostaliśmy dłużni. Było tak aż do samej szatni. Nasz przemarsz przekształcił się istotnie w demonstrację narodową, jakiej Bielsko dotąd nie widziało. Trzeba bowiem wiedzieć, że w pochodzie wzięło udział kilkuset Polaków, zwabionych wygnaną z ulic Bielska polską pieśnią. Policjanci otoczyli szatnię, aby wstrzymać rozwścieczonych hakatystów i nie dopuścić do starcia między ochraniającymi nas Polakami, a oczekującymi na nasze wyjście Niemcami. Na dworzec przeszliśmy pod ochroną policji i Polaków, którzy nie dając się zastraszyć prowokującym Niemcom, dzielnie wtórowali nam w śpiewie. Również pod ochroną policji zajęliśmy miejsca w wagonie, po czym zjawił się poseł śląski do parlamentu austriackiego Dobjija, który w serdecznych słowach podziękował nam za wystąpienie tak podnoszące na duchu Polaków żyjących w nieprzyjaznym polskości środowisku bielskim.

Nie brakło tej jesieni sportowych sensacji. Po raz pierwszy miała publiczność krakowska interesująca się sportem zobaczyć drużynę węgierską. Udało się nam zakontraktować mistrza prowincji Węgier Kassai Athletikai Club. Węgrzy, którzy mieli za sobą dwa zwycięstwa nad lwowską Pogonią w stosunku 5 : 0 i 4 : 1, przyjechali do Krakowa po pewne zwycięstwo. Toteż opór, jaki stawialiśmy, wyprowadził pełnych temperamentu Madziarów z równowagi. Gdy przy stanie 2 : 2 uzyskaliśmy trzecią, zwycięską bramkę, opuścili boisko i z trudem można ich było nakłonić do podjęcia gry dopiero wtedy, gdy

zrezygnowaliśmy z tej bramki. Jasne, że po takim incydencie obie drużyny oczekiwały z utęsknieniem przez ostatnich dwadzieścia minut gwizdka sędziego. I ukłeczu nastąpiło jednak serdeczne zbratanie i wypowiedź kierownika wyrażająca zdumienie z powodu umiejętności naszej drużyny. W tym sezonie wypróbowaliśmy z lwowskimi Czarnymi i Pogonią, a Dianę katowicką rozgromiliśmy w stosunku 7 : 1. Nawet dla drugiej czyli zapasowej drużyny sprowadziliśmy miejscowego przeciwnika, a mianowicie Skawę z Wadowic.

Oczywiście, że dotychczasowy nasz dorobek w porównaniu z dzisiejszym stanem Cracovii jest bardzo skromny, nie można jednak zapominać, że byliśmy ciągle jeszcze w powijakach i właśnie wtedy zakładaliśmy fundamenty pod to, co złożyło się na trwałą sławę naszego klubu. W skład kierownictwa klubu wchodził przede wszystkim Bernard Miller, który dla „obcych” miał tytuł wiceprezesa; ja sprawowałem oficjalnie agendy sekretarza, a Waclaw Wojakowski, który nie należał do składu pierwszej drużyny, ale wkradł się w nasze łaski pełniąc, naturalnie bezinteresownie, obowiązki kasjera na zawodach, przejął w konsekwencji funkcje skarbnika. Muszę tutaj podkreślić, że Miller położył w okresie powstawania klubu ogromne zasługi. Jego niewątpliwemu talentowi organizacyjnemu należy zawdzięczać m. in. fuzję Cracovii z „biało-czerwonymi”. Widząc, że utrzymanie jakiego takiego poziomu piłkarskiego siłami studentów uniwersytetu jest niemożliwe, zdołał przekonać zawodników Mazura, którzy właśnie przechodzili pewien kryzys personalny, że połączenie obu drużyn jest jak najbardziej racjonalnym wyjściem z sytuacji, w której znalazły się obie drużyny. Zdawał sobie sprawę, że przyszłość klubu i jego rozwój to młodzież i starał się, aby ta młodzież garnęła się do nas. Popularny w Krakowie jednak nie był. Uważano go za zarozumialca. Być może, że niekiedy nie znajdował właściwego podejścia do ludzi i spraw, ale zmuszały go do tego ówczesne imponderabilia. Wojakowski, student prawa U. J., miał ambicje sportowe. Kwalifikacje na boisku nie pokrywały się z ambicjami. To też chcąc nie chcąc, przywiązany fanatycznie do klubu, podejmował się każdej pracy. Obdarzony dużym poczuciem humoru, znosił bez urazy docinki kolegów i potrafił w odpowiednim momencie należycie się odciąć. Niezamożny chłopak, podpisał dla Cracovii pierwszy w swym życiu weksel, co nam zresztą stale w ciągu długich lat wypominał. Wszelkie sprawy dotyczące drużyny omawialiśmy wspólnie w szatni parku lub też w mieszkaniu Caldera, który zaprzyjaźniwszy się z nami, zbierał nas u siebie w każdy poniedziałek wieczorem.

W jesieni 1908 roku opracowaliśmy (jako pierwszy w Małopolsce!) projekt statutu klubu, zatwierdzony przez właściwe władze, a w ślad za tym zaczęto wydawać legitymacje członkowskie, zwane dla uczniów szkół średnich „legitymacją uczestnika”. Wydano też odznakę klubową, której wzór z pewnymi wariantami przetrwał po dzień dzisiejszy, wreszcie wynajęto lokal klubowy przy ulicy Jabłonowskich (dzisiejszy plac Sikorskiego).

Zdawaliśmy sobie sprawę, że rosnąca w szybkim tempie organizacja nie może się opierać na kierownictwie składającym się prawie wyłącznie z zawodników. Potrzebna była pomoc ludzi starszych, znanych nie tylko w kołach sportowych, posiadających wpływy i oparcie w różnych sferach społeczeństwa. Szczęście i tutaj nie opuściło nas. Dnia 10 lutego 1910 roku odbyło się

pierwsze konstytuujące Walne Zgromadzenie, na którym wiceprezesem wybrano Kopernickiego, a w skład zarządu powołano dyr. Jana Kowalskiego i prof. Jana Stacha. Poza innymi członkami zarządu wybrano kilku Zawodników, w tej liczbie Millera, Wojakowskiego — jako skarbnika i mniw ^{prz} jako sekretarza. Wkrótce na godność prezesa dokooptowano „skaperowanego” re’zez Kopernickiego, znakomitego uczonego, profesora U. J. dra Jana Mien ła Rozwadowskiego.

Nowy zarząd energicznie wziął się do dzieła, a ponieważ ułożenie programu sezonowego nie było możliwe bez przystąpienia do Austriackiego Związku Piłki Nożnej w Wiedniu, który od tego kroku uzależniał udzielanie zezwolenia na rozgrywanie zawodów swym klubom związkowym, przeto, rzecz prosta, przystąpiliśmy do Związku.

Aby wypełnić lukę istniejącą w polskim „prawodawstwie” sportowym, trójka złożona z Kopernickiego, Millera i mnie opracowała, a Cracovia wydała przepisy gry w piłkę nożną w oparciu o wydawnictwa angielskie i austriackie. Było to pierwsze polskie wydanie tego rodzaju.

Program sezonu był w porównaniu z późniejszymi bardzo skromny. Natomiast w kalendarzu na sezon wiosenny znajdowały się także drużyny niepolskie, niektóre z nich zaliczające się do czołówki swych krajów a nawet Europy. Ryzyko finansowe było znaczne, na większe sukcesy nie liczyliśmy, ale byliśmy przekonani, że będzie to bodźcem do dalszego naszego rozwoju. Tak też było. Wszystkie ukazujące się w Krakowie dzienniki umieszczały dwa do trzech razy w tygodniu programowo-propagandowe wcale obszerne komunikaty sekretariatu klubu. Niemalą sensację wywołały m. in. komunikaty zapowiadające dwa mecze ze słynną, bo jedną z najlepszych w Europie, wiedeńską drużyną Vienna and Football Club, popularnie zwaną „Kriketerami”. O graczach tej drużyny pisaliśmy w samych superlatywach, cytując także głosy prasy obcej o miażdżącym zwycięstwie wiedeńczyków nad Berlińczykami w Berlinie, wyrażającym się stosunkiem 8:1. Środkowego pomocnika wiedeńczyków nazwano np. „małym fenomenem” (*das kleine Wundertier*), bo potrafił zupełnie unieszkodliwić znakomitego berlińskiego bramkoroba („*die Berliner Schiessbude*”). Komunikaty i zawarte w nich ogłoszenia robiły swoje. Frekwencja na zawodach zwiększała się z niedzieli na niedzielę i osiągnęła właśnie na spotkaniu z Kriketerami rekord frekwencji i rekord wpływu kasowego, który stanowił żelazny kapitał dla budowy własnego „parku gier”. Logiczną konsekwencją rosnącego zainteresowania piłką i zawodami było pojawienie się pierwszych sprawozdawców sportowych. Na łamach krakowskiej prasy zaczęły ukazywać się sprawozdania z odbytych zawodów. Niektóre były prymitywne i świadczyły o niezbyt wysokiej znajomości zagadnień sportowych, a piłki nożnej w szczególności. Niemniej poniedziałkowy nakład dzienników był zwiększony, a przed lokalami redakcji u tablic, na których wedle ówczesnego zwyczaju wylepiały wszystkie dzienniki codziennie egzemplarz swej gazety, zbierały się grupy zapaleńców sportu i amatorów powtórnego a bezpłatnego przeżywania emocji, kształtując nieraz swe zdanie o odbytych zawodach na podstawie wydrukowanej recenzji. W redakcjach zorientowano się szybko, że sport może rozszerzyć grono czytelników i stałych odbiorców ich dziennika. Sport stawał się coraz

popularniejszy i należało się liczyć z wymaganiami publiczności. Pierwszy poszedł z prądem konserwatywny w swym kierunku politycznym „Czas”. Co tydzień ukazywała się prócz sprawozdań i komunikatów zamieszczanych w kronice, rubryka sportowa. Początkowo prowadził ją Miller, ale wkrótce na propozycję Kopernickiego objąłem ja jej redagowanie, jako ten, który przynosił szersze wiadomości z świata sportowego, czerpane z prasy obcej.

W sezonie tym poza Kriketerami nie przegraliśmy żadnego meczu, a na rozkładzie mieliśmy wszystkie kluby polskie i obce. M. in. odnieśliśmy nieoczekiwane zwycięstwo nad budapesztańskim pierwszoklasowym klubem „Törekves”; od tej chwili połączyła nas z nim prawdziwa, szczerza przyjaźń, która przetrwała dziesięciolecia.

Że poziom gry znacznie się podniósł, było w dużej mierze zasługą nowego zawodnika, który zasilił naszą drużynę. Był to Ryszard Singer, młodszy z dwu braci. Przed przybyciem do Krakowa dla odbycia służby wojskowej był zawodnikiem wiedeńskiego doskonałego pierwszoklasowego klubu „Vienne”. Z zawodu pracownik umysłowy, ale bez matury, przydzielony został do stacjonującego w Krakowie 3 pułku ułanów. W pierwszy wolny dzień zjawił się w klubie. Wyszło to i jemu, i nam na korzyść. Dzięki wpływom naszych zwolenników, nie przechodząc w ogóle rekruckiego przeszkolenia, został przydzielony do kancelarii wojskowej, w której spędził całe trzy lata, przez cały czas na wyjątkowych warunkach. W macierzystym, wiedeńskim klubie grywał jako pomocnik; u nas, gdzie brak środkowego napastnika był bolączką, spróbowano go na tym stanowisku i okazało się, że zawodnik, który „myśli” i dysponuje odpowiednią techniką, może spełniać zadanie na różnych stanowiskach. Tak też i Singer, który wkrótce okazał się doskonałym napastnikiem. Po powrocie do Wiednia austriacki związek powierzył mu kierownictwo ataku w drużynie reprezentacyjnej przeciw Italii. Zwyciężyła drużyna austriacka 3 : 1, a Singer strzelił dwie bramki. Stwierdzić trzeba, że mieliśmy szczęście do cudzoziemców. Calder, Singer nie tylko nauczyli nas wiele, ale trudno uwierzyć, jak przywiązali się do klubu i jak mu byli oddani.

Między innymi rozegrano tej wiosny spotkanie z morawską Slavią, która uchodziła za najsilniejszą czeską drużynę, poza Pragą. Małą sensację wywołał nie tyle osobą ile ubiorem prezes tego klubu, który przyjechał z piłkarzami do Krakowa. Paradował bowiem niezmiernie uroczyście w angielu i cylindrze i tak pozował do wspólnej ze swą drużyną fotografii na boisku. Slavia przyjechała po pewne zwycięstwo nad Cracovią, o której przedtem nigdy nie słyszała, poniosła jednak katastrofalną porażkę 8 : 2. Biedny pan prezes, w życiu prywatnym nauczyciel gimnazjalny, nie mógł zrozumieć jak to się stało, że jego renomowana drużyna została rozgromiona przez piłkarzy zupełnie nieznanych. Na wspólnej kolacji po meczu powiedział m. in., że przyjechał w przekonaniu, że będzie nas uczył grać, a tymczasem musi stwierdzić, że jego drużyna otrzymała lekcję gry. Inna sprawa, że w prasie czeskiej napisał, że większość bramek padła z pozycji spalonej. Ale o tym ani na boisku, ani też po meczu nie mówiono.

Wprowadziliśmy na boiska polskie jeszcze jedną nowość — sędziego piłkarskiego. Był nim opiewany w czterowerszu przez przeciwników Franciszek

Jachieć. Po zakończeniu kariery zawodnika ukazał się na boisku jako „pan z gwizdkiem”. Trzeba przyznać, że sędzią był doskonałym i tylko szkoda, że po pierwszej wojnie światowej zbyt rzadko ukazywał się na boisku, aby wreszcie w ogóle porzucić sędziowanie. Podczas jednego z przejazdów Kopernickiego przez Wiedeń poddano mu myśl, aby tytułem próby zaprosić na prowadzenie zawodów w Krakowie sędziego wiedeńskiego. Pomysł ten spodobał się naszemu wiceprezesowi i wkrótce po pobycie Kriketerów, jako sędzia na zawodach Wisła — Cracovia, pojawił się należący do elity wiedeńskiego kolegium sędziowskiego władający językiem polskim sędzia Vykoukal. Zdobył z miejsca uznanie i zawodników, i publiczności, toteż jeszcze kilka razy bawił w Krakowie. Pobyt jego przyczynił się niezawodnie tak do właściwej interpretacji przepisów, jak również do wzorowania się na sposobie prowadzenia gry przez sędziego. Vykoukal wraz z nazwiskiem stał się do tego stopnia popularny, że przeszedł do literatury. Uwiecznił go Boy-Żeleński w szopce Zielonego Balonika, każąc śpiewać futbaliście

Już Vykoukal nakazuje karny rzut
Za sportowe pokopanie paru ud.

Sezon jesienny ułożono kierując się zasadą nauki na znakomitych wzorach. Toteż braliśmy lanie, po którym wstydziliśmy się ukazywać na ulicy. Tej jesieni zawody rozgrywano na pozostawionym na Błoniach boisku po zlocie sokolim roku 1910. Zlot ten odbywał się ku uczczeniu rocznicy grunwaldzkiej i krakowski Sokół proponował nam nawet wzięcie udziału i rozegranie w czasie zlotu meczu z praską Slavią, ale uzależnił to od wstąpienia do Sokoła. Mając już aż nadto smutne doświadczenia z Sekcją Sportową, nie zgodziliśmy się na ponowną rezygnację z trudem zdobytej niezależności. Skorzystaliśmy natomiast z boiska. Boisko, własność prywatnych przedsiębiorców, było całkowicie urządzone, ale dawał się odczuwać brak szatni, po wtóre zaś użytkowały go wszystkie kluby, co było przyczyną zadrażnień i sporów, oraz utrudniało opracowanie sezonu.

Z „historycznych” wydarzeń, związanych z boiskiem należy zaznaczyć, że było także areną pierwszej w historii piłki w Krakowie burzy wśród widzów na trybunach. Mianowicie w meczu z wiedeńskim Rudolfshüglem kopnął mnie jeden z napastników w pierś i musiano mnie znieść z boiska. Tenże napastnik uzyskał wtedy bramkę dla Wiednia, zawładnąwszy piłką, gdy po kopnięciu prawie nieprzytomny wypuściłem ją z rąk. Na reakcję publiczności nie trzeba było długo czekać, tym bardziej, że należałem do zawodników lubianych przez publiczność, która do końca meczu nie mogła się uspokoić; drużynę wiedeńską odprowadzała policja do dorożek, które odwoziły ją do hotelu. Dostało się przy tej okazji i Vykoukalowi, który sędziował ten mecz, nasłuchał się bowiem niemało, że dopuścił do wybryków graczy wiedeńskich.

W tym sezonie wyjechaliśmy na zawody do Warszawy, znajdującej się wtedy za kordonem. Singer nie mógł otrzymać jako wojskowy paszportu na własne nazwisko, a pod cudzym nazwiskiem obawialiśmy się „szmuglować” go, zwłaszcza, że po polsku jeszcze wtedy nie mówił. Trzeba było przedstawiać drużynę, co w braku odpowiedniego zastępcy na środkowego napastnika, nie

było łatwe. Również sama podróż nie przeszła zupełnie gładko. W czasie granicznej odprawy celnej w Maczkach celnicy i żandarmi rosyjscy zaniepokoiili się naszymi biało-czerwonymi koszulkami, a już prawdziwy popłoch wywołały ułożone w ilości kilkuset egzemplarzy nasze przepisy gry w piłkę, również w biało-czerwonych okładkach. Oficerowie żandarmerii, którzy o sporcie nic nie wiedzieli, uważali, że udało się im przychwycić przemyt rewolucyjnej bibuły. Z trudem zdołaliśmy im wreszcie przy pomocy tłumacza wyjaśnić, że nie mamy żadnych rewolucyjnych zamiarów, a jedziemy tylko kopać piłkę. W Warszawie, gdzie oczekiwano nas niecierpliwie, korowód przeprowadzający nas z dworca na śniadanie zwracał uwagę stójkowych. Obeszło się jednak bez incydentu. Oczekiwał nas tutaj także i Kopernicki, który dzięki swym stosunkom a także wpływom Warszawskiego Koła Sportowego, które nas zaprosiło, rozpętał w prasie warszawskiej fantastyczną reklamę, wzorując się na komunikatach umieszczanych w prasie krakowskiej. Po obiedzie przewieziono nas na jedyne w Warszawie boisko w Agrikoli, używane pierwotnie na konkursy hipiczne. Trening, który tam natychmiast rozpoczęliśmy, przerwały dopiero zapadające ciemności. Spędzoną bezsennie noc w wagonie i kilkugodzinny trening odczuliśmy dopiero w następnym dniu w czasie zawodów. Zanim doszło do spotkania, nie obeszło się bez pewnego intermezza. Oto na telefoniczne zapytanie Kopernickiego tuż przed rozpoczęciem meczu, czy będziemy punktualnie na boisku, odpowiedziałem, że właśnie zajeżdżają dorożki, którymi mamy się udać na boisko, zupełnie gotowi, bo ubrani w nasze sportowe dresy. Zaznaczam, że żadnych wierzchnich „overallów” nie mieliśmy, gdyż o czymś podobnym nikt wówczas nie myślał. Kopernicki był przerażony, bo przecież korowód dorożek przejeżdżających przez najruchliwsze ulice z pasażerami ubranymi w barwy narodowe mógł być uważany za demonstrację, którą musiał zatrzymać pierwszy napotkany stójkowy. Konsekwencje mogły być nieprzyjemne. Poleciał nam przeto jak najprędzej przebrać się w cywilne ubrania, co też co rychlej uczyniliśmy.

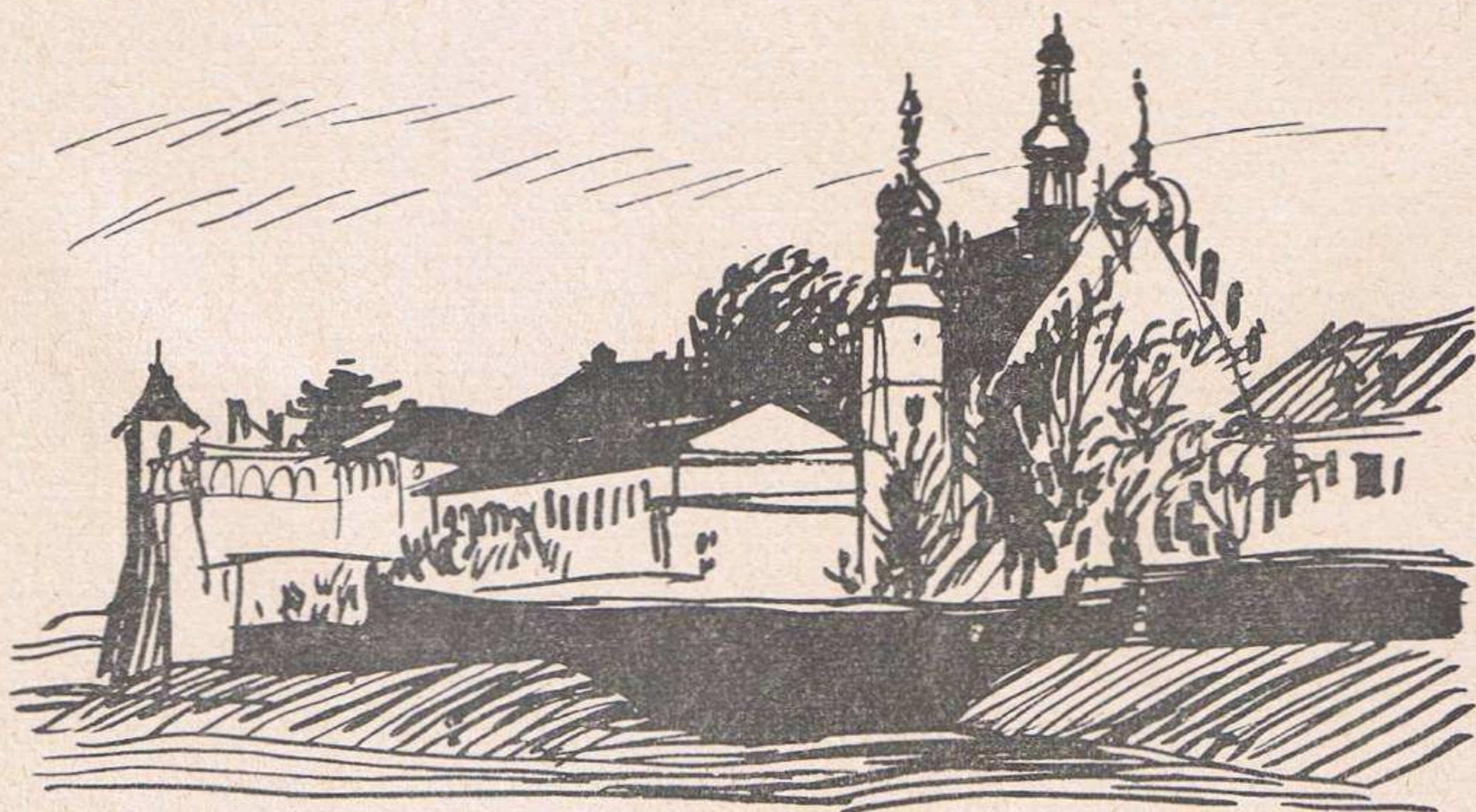
Umiejętna reklama, w której nie zabrakło także dyskretnie podanych momentów patriotycznych, spowodowała, że oprócz żadnej widowiska sportowego młodzieży zebrała się na trybunie „śmietanka” warszawskiego towarzystwa. Pojawienie się nasze na boisku powitano owacyjnie. Przy tym wszystkim zmęczenie odbiło się wyraźnie na naszej drużynie, a pewną rolę odegrała zapewne i nonszalancja w grze, oparta na poczuciu ogromnej wyższości, zwłaszcza, że od razu po rozpoczęciu gry nasz pierwszy atak zakończył się zdobyciem bramki. Nasi zawodnicy, jakby przypomnieli sobie o laurach i sławie zdobywanej swego czasu w Parku Jordana, grali zupełnie wyraźnie na zdobycie poklasku publiczności, a strzały parował z nieprawdopodobnym szczęściem bramkarz. W rezultacie wygraliśmy zaledwie 2 : 1, a Kopernicki, zrażony tym, co widział na boisku, powróciwszy z nami do hotelu, chciał telefonować do Budapesztu, dokąd mieliśmy jechać na rewanżowe zawody z Toerekvesem, by spotkanie to odwołać. Z trudem tylko zdołaliśmy go przekonać, że okazanej formy nie należy brać zbyt poważnie. Zakończył imprezę wieczorem olbrzymi bankiet z udziałem całego Zarządu Warszawskiego Koła Sportowego, z prezesem księciem Czetwertyńskim na czele.

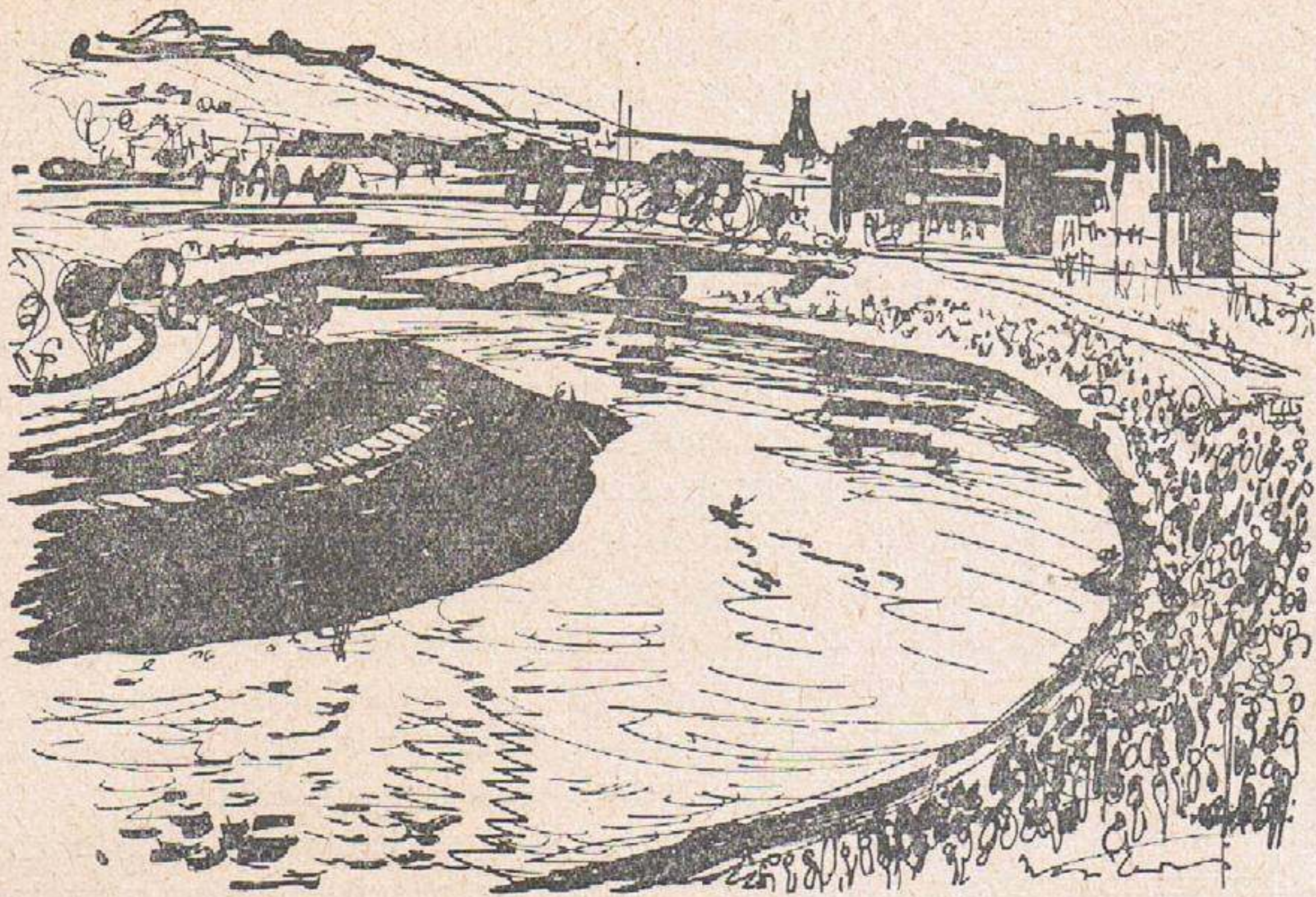
Po bankiecie powiada Kopernicki do mnie: „Panie Józefie, nauczyłem się ważnej rzeczy. Oto toastu na cześć gości nie musi się pić szampanem. Będziemy w przyszłości tak postępować, jak nas Warszawa nauczyła. Książę Czetwertyński wznosił na wytwornym przyjęciu toast piwem”. Geneza tego powiedzenia była taka, że po meczu z Kriketerami, na bankiecie urządzonym w najelegantszej restauracji krakowskiej w Starym Teatrze, prezes Rozwadowski po wygłoszeniu przemówienia pił pomyślność wiedeńskiego klubu szampanem. W nawiasie wspomnę, że zarówno koszty bankietu jak i szampana nie były pokrywane z kasy klubowej. Tak więc nauka warszawska miała w przyszłości dać nam, względnie naszym protektorom, oszczędności przez skreślenie musującego wina w czasie wspólnych kolacji z goszczącymi u nas drużynami.

Wynik zawodów wpłynął jednak deprymująco na nasze nastroje. Poweseleliśmy nieco w następny dzień, kiedy ze sprawozdań warszawskiej prasy dowiedzieliśmy się, że zawody zakończyły się naszym zwycięstwem 2,5 : 1. Po raz pierwszy i ostatni w życiu spotkałem się z tak enigmatycznym sposobem obliczania bramek.

Z powodu niezalatwienia pewnych formalności paszportowych musieliśmy się zatrzymać w Warszawie przez następny dzień. Kierownictwo najlepszego ówczesnie klubu warszawskiego „Korona” zaproponowało nam rozegranie zawodów z jego drużyną. Mecz ten odbył się przy minimalnym udziale wtajemniczonych i zakończył się naszym zwycięstwem 10 : 0.

Z tego okresu nie mogę pominąć treści rozmowy red. Kopernickiego z moją matką, która nie bardzo chętnie spoglądała na moje sportowe zajęcia. Kiedy spotkawszy ją prywatnie składał jej gratulacje z okazji moich wyczynów, otrzymał odpowiedź: „Panie Redaktorze, marzyłam o różnej karierze moich chłopców, ale, że syn będzie stróżem w bramce i że z tego powodu





będę otrzymywać gratulacje, o tym nigdy nie myślałam”. Chyba zbyteczne cokolwiek do tego dodawać.

Zima 1910/11 była okresem dalszych postępów organizacyjnych i to nie tylko wewnątrzklubowych. Godność prezesa Cracovii objął na rok 1911 red. Kopernicki. Z jego inicjatywy i głównie jego pracą, oraz przy współdziałaniu działaczy Lwowa stworzono Polski Związek Piłki Nożnej jako autonomiczny związek galicyjski przy austriackim Verbandzie. Pierwszym jego prezesem wybrano Kopernickiego. Austriacki Związek wybrał go na swym walnym zgromadzeniu wiceprezesem. Reprezentował on ten związek na kongresie Międzynarodowego Związku Piłkarskiego w Dreźnie i odegrał tam wcale poważną rolę, wykazując m. in. na szerokim forum udział Polaków w sporcie.

W klubie również nie próżnowano. W tym roku wydzierżawiliśmy od Krajowego Związku Turystycznego 9 kortów przy ul. Żabiej (dzisiaj Aleja Słowackiego), w pobliżu gruntów, na których wznosi się obecnie gmach Akademii Górniczo-Hutniczej. Położone były za wałem kolei obwodowej i przechodziło się tam przez bramę forteczną. Place były doskonałe, starannie pielęgnowane i cieszyły się dużą frekwencją. Korzystali z nich wszyscy krakowscy amatorzy „białego sportu” bez względu na przynależność klubową, o której właściwie trudno mówić, gdyż w tych latach nie było w Krakowie ani klubów, ani też sekcji tenisowych. Z powodu trudności kontroli wpływów kasowych zdecydowaliśmy się za zgodą kierownictwa parku zbudować w parku dra Jordana dwa wzorowe korty, na których urządziliśmy pierwszy większy turniej w Krakowie. Pierwsze miejsce w grze pojedynczej panów zdobył Władysław Szwede, który przez długie lata nie miał później w Krakowie konkurentów. W grze podwójnej panów zwyciężyła wtedy para Jerzy Leszczyński i Władysław Szwede. Leszczyński był już wtedy wybitnym artystą Teatru Miejskiego

w Krakowie, a władał też doskonale rakieta. Z „łezką” wspomina o tych odległych czasach, kiedy wiele godzin spędzał na kortach, podziwiany i oklaskiwany nie mniej niż na deskach sceny teatralnej. Przestaliśmy więc być klubem piłkarskim i zdawaliśmy sobie sprawę, że stworzenie dalszych sekcji to **tylko** kwestia niezbyt odległego czasu.

Wiele czasu i energii zajęło przygotowanie sezonu wiosennego. Prezes Kopernicki zimę i pierwsze miesiące wiosenne spędzał na skutek postępów choroby na południu. Cały ciężar i odpowiedzialność za odpowiedni program wiosny spadł na mnie, bo z prezesem mogłem porozumiewać się jedynie listownie i to rzadko. Na skutek tego, dzięki jego osobistej interwencji w austriackim związku w Wiedniu, w czasie jego drogi powrotnej do Krakowa doszło do niebywałego w historii piłkarstwa wydarzenia. Licząc się i z Kopernickim, i z naszym Polskim Związkiem, Austriacy zgodzili się na przysłanie do Krakowa swej reprezentacyjnej drużyny, która miała rozegrać tutaj dwa mecze: z lwowskimi Czarnymi i z nami. Był to fakt bez precedensu, aby drużyna państwowa występowała przeciwko drużynom klubowym.

Program, w którym figurowały nazwy klubów o najpoważniejszym ciężarze gatunkowym ówczesnego świata sportowego, wzbudził poważny niepokój prezesa. Przejrzawszy kalendarz zawodów zwrócił się do mnie z zapytaniem, czy zdaję sobie sprawę z olbrzymiego ryzyka finansowego. Muszę się przyznać, że w zapale, by publiczności przedstawić możliwie wszystkie znakomitości sportowe, nie zastanawiałem się zbyt wiele nad stroną finansową imprez, tym więcej, że z pozostałych członków zarządu nikt nie nakładał mi hamulca. Na obawy prezesa odparłem, że w ubiegłych sezonach przedstawialiśmy publiczności kluby o takim poziomie, że nie możemy jej obecnie byle czym zadowolić. Na szczęście sezon dopisał kasowo. Pomimo ogromnych wydatków, w kasie klubu pozostała poważna nadwyżka.

Na Święta Wielkanocne zaprosiliśmy na rewanżowe zawody Warszawskie Koło Sportowe. W komunikatach ogłosiliśmy naszych gości jako poważnego przeciwnika oraz napomknęliśmy o konieczności gremialnego i możliwie najserdeczniejszego powitania ich przez krakowską publiczność. Znając prawdziwą wartość sportową naszego przeciwnika postanowiliśmy nie dopuścić do wysokiej porażki warszawiaków w pierwszym dniu zawodów, z obawy, że wpłynęłoby to na obniżenie frekwencji w drugim dniu. Tak się też stało. W niedzielę uzyskaliśmy wynik 5 : 2. Wieczorem, przy kolacji, kapitan drużyny warszawskiej Mühlner zażartował ze mnie, że jakoś nie potrafimy wykazać zdecydowanej przewagi. Na to wyjaśniłem mu powód dzisiejszego wyniku. Trudno było wziąć mu za złe, że nie chciał przyjąć mojego wyjaśnienia za dobrą monetę. Ale gdy w dalszym ciągu żartował i uśmiechał się ironicznie, zapowiedziałem, że nazajutrz wygramy dwucyfrowką. Założył się ze mną, stawki już nie pamiętam, że jego drużyna uzyska wynik korzystniejszy, aniżeli w dniu dzisiejszym. O zakładzie zawiadomiłem naturalnie drużynę. Tymczasem jak na złość na boisku szło jak z kamienia. Do przerwy było zaledwie 3 : 0 na naszą korzyść, a więc dwucyfrowka prawie nieosiągalna. W szatni zrobiłem awanturę, że nie szanujemy barw klubowych, że nie popisaliśmy się w Warszawie, a teraz w Krakowie również nie potrafimy zagrać na odpowiednim

poziomie. Na moją reprimendę odpowiedział tylko Antek Poznański. Z właściwym mu humorem zapewnił mnie, że zakład wygram. W drugiej połowie chłopcy istotnie zagrali jak odmienieni. Gdy gwizdek sędziego oznajmił koniec zawodów, stan meczu był 12 : 0. Zdeprimowanemu Mühlnowi tłumaczyłem, że niepotrzebnie nas sprowokował, gdyż wygrać chcieliśmy i to w stosunku wyższym niż w pierwszym dniu, lecz nie mieliśmy zamiaru urządzać pogromu, który on sam wywołał nieopatrznie.

Wspomniałem już powyżej, że austriacki związek zdecydował się, co prawda z wielkimi oporami, wysłać reprezentacyjną drużynę na mecz z Cracovią. Muszę w tym miejscu naświetlić to spotkanie.

Wysłanie drużyny państwowej na zawody z drużyną klubową świadczyło, że Wiedeń liczy się poważnie z polskimi klubami. Zdawaliśmy sobie doskonale sprawę, że podyktowane to było także i względami polityki. Może to dziwne, ale tak było. Mianowicie Czeski Związek Piłkarski nie chciał przystąpić do austriackiego jako związek krajowy i narażając się na bojkot ze strony F. I. F. A. (Federation International de Football Association — Międzynarodowy Związek Klubów Futbolowych) tudzież uniemożliwiając przez to rozgrywanie zawodów z klubami nie czeskimi, wytrwale walczył o niezależność i bezpośrednie członkostwo w Fifie. Atoli Czesi mogli sobie na to pozwolić, bo dysponowali znaczną liczbą dobrych klubów ze Slawią i Spartą na czele. Natomiast kluby w Małopolsce (gdyż o Kongresówce i zaborze pruskim podówczas ze zrozumiałych względów nie było mowy) nie mogły mimo najlepszych chęci pójść w ślady Czechów. Zbyt mało było klubów a i poziom ich był słaby. Przejściowe próby oparcia się o Czeski Związek i czeskie kluby kończyły się niepowodzeniem. Austriacy byli w ciągłej obawie, że Polacy mogą pójść za przykładem Czechów i dlatego posuwali się w wypełnianiu żądań klubów do możliwych granic, zwłaszcza gdy wysuwane były przez Kopernickiego, z którego autorytetem liczył się Wiedeń bardzo poważnie. Obecność prezesa austriackiego związku dra Abelesa na zawodach w Krakowie była jeszcze jednym dowodem wagi jaką przykładano w Wiedniu do dobrych stosunków z małopolskim sportem.

Wizytę drużyny wiedeńskiej rozłożyliśmy w ten sposób, że w sobotę graliśmy z lwowskimi Czarnymi, a w niedzielę odbyło się spotkanie Czarnych z drużyną znaną Dunaju. W poniedziałek zaś (w święto Stanisława) przeciwnikiem reprezentacji była nasza drużyna. Z Czarnymi wygraliśmy 3 : 0. W niedzielę wystąpili nasi goście w barwach i jako reprezentacja Wiednia. Gdy po 30 minutach gry prowadzili z Czarnymi 7 : 0, zwolnili tempo, oszczędzając swe siły na spotkanie z nami. Pomimo to wynik opiewał 12 : 0. Nie potrzeba było lepszej reklamy. Publiczność zapełniła w poniedziałek trybuny. Zanosilo się na wielką sensację. Byliśmy początkowo zupełnie równorzędnym przeciwnikiem, a po 10 minutach prowadziliśmy 1 : 0. Przepiękną bramkę uzyskał głową Szeligowski po rzucie z rogu. Ale reprezentacji Austrii, bo jako tacy wystąpili wiedeńczycy przeciw nam, pomogłem ja. Ja bowiem przegrałem ten mecz, lub też dopuściłem do takiej różnicy bramek. Przepuściłem bowiem do przerwy 5 bramek, z których większą część byłbym kiedy indziej bez trudu obronił. Tak więc stan meczu do przerwy był 5 : 1 dla gości. Po pauzie poszło

lepiej. Austria wygrała 6 : 3, a dwie bramki uzyskał dla nas Poznański w stylu, który zaimponował zarówno zawodnikom jak i prezesowi z Wiednia. Mówiono po tych zawodach, że zupełnie poważnie traktowano kandydaturę Antka do reprezentacji Austrii. W poniedziałek wieczorem wielki bankiet, lecz bez Czarnych, którzy powrócili do Lwowa, gdyż dzień św. Stanisława nie był we Lwowie dniem świątecznym. Byliśmy wszyscy speszeni, gdy wiedeńscy pojawili się w smokingach, a dr Abeles we fraku. My byliśmy ubrani w zwyczajne codzienne garnitury. Nieprzyjemnie było również i naszemu prezesowi, który nie przeczuwając takiej parady, witał gości w zwyczajnym ciemnym ubraniu. Widać było co prawda, że nasi goście czują się przeważnie nieswojo w smokingach, zauważyć można też było, że ubrania te nie były szyte na miarę tych, którzy je ubrali, faktem jednak jest, że i taki drobny szczegół świadczył, że nasi goście wysoko cenili przyjazd do Krakowa. I jeszcze jedna ciekawostka: w czasie bankietu wypito kilkadziesiąt dużych piw i nie mniejszą ilość wody sodowej z sokiem. Piwo pili zawodnicy wiedeńscy, wodę sodową krakowiacy. Czy dziś rzecz przedstawiałaby się podobnie?

W czasie Zielonych Świąt bawiła w Krakowie drużyna „Deutscher Fussball Club” z Pragi. Była to jedna z najlepszych drużyn Europy, która odrzuciła zaproszenie do Kopenhagi, aby pod naciskiem Verbandu przyjechać do Krakowa. Prażanie tak bardzo byli zadowoleni z okazanej im gościnności, że przyznawali po meczach, iż nie żałują przyjazdu do Krakowa. Trenerem drużyny praskiej był Czech Frantisek, a właściwie Ferencz Koželuch. Redaktor Kopernicki załatwił sprawę zaangażowania go dla nas na miesiąc czerwiec. Ferencz — jak go pospolicie nazywano — był jednym z pięciu braci Koželuchów, z których czterej byli trenerami i to przeważnie tenisowymi. Ferencz, jako najslabszy z nich w tenisie, zajmował się także piłką nożną. Jego pierwotnie miesięczny pobyt miał się w przyszłości zamienić w długoletni staż.

Bilans sezonu wiosennego wykazał nadwyżkę w dochodach i obawy prezesa okazały się płonne. Rezultaty sportowe, jeśli popatrzymy na nie z punktu cyfrowego, nie były imponujące. Przeciwnikiem naszym były jednak drużyny zaliczające się do najlepszych w Europie i dlatego mecze przegrane nie stanowiły dla nas ujmy. Były natomiast zarówno dla nas jak i innych krakowskich piłkarzy doskonałą lekcją piłki nożnej. Nie obojętny był i ten moment, że wiązały one coraz bardziej publiczność krakowską ze sportem. Zaszczętnym finałem tego wiosennego sezonu było przyznanie Cracovii A-klasy, a więc najwyższego stopnia, jakim dysponował podówczas związek austriacki.

Sezon wiosenny 1911 roku zamyka właściwie moją karierę sportową jako zawodnika. Wysłany przez rodziców do Wiednia na przeciąg jednego roku, nie mogłem się przyzwyczaić do atmosfery panującej w drużynach wiedeńskich. Mimo udanego debiutu i nęcących propozycji z różnych klubów, pomny na współzycie zawodników w moim klubie i poza boiskiem, a także na poziom umysłowy, nie mogłem się oswoić z obcym, dalekim od dotychczasowego środowiskiem.

Po powrocie do Krakowa musiałem stwierdzić, że odmłodzona drużyna spogląda na mnie wybitnie niechętnie, patrząc na mnie jak na nowego, nieznanego intruza. Po dwu meczach w jesieni 1912 roku, w których mój udział

był przez zawodników i przez publiczność (której niedawno byłem pupilkiem) wręcz wrogo przyjęty, odrzekłem się myśli, że odzyskam dawne stanowisko. Jak się następnie dowiedziałem, „konkurencja” poczuła się zagrożona moim przybyciem i rozpoczęła na szeroką skalę działania przeciw mnie. Pozostała mi wobec tego tylko rola kibica. Nie na długo jednak. Sytuacja finansowa, w której znalazł się klub, zmusiła po sezonie wiosennym zarząd do rozwiązania umowy z Koźeluchem, który od jesieni był trenerem tenisowym i piłkarskim. Drużyny pozostały bez opieki, do której już przywykły. Postanowiłem wobec tego w miarę możliwości i umiejętności objąć rolę Koźelucha. Złożyło się tak, że przez szereg lat musiałem spełniać rolę trenera w okresach, gdy Cracovia nie mogła sobie pozwolić na opłacenie trenera innego. Początek tego nowego okresu mej działalności w Cracovii był wcale interesujący. Wspominałem, że drużyna, a zwłaszcza ci zawodnicy, z którymi poprzednio nie grałem, patrzyli na mnie nieprzyjaźnie. Trening rozpocząłem więc indywidualnie, tj. z tymi, o których wiedziałem, że chętnie będą ze mną pracowali. Było więc najpierw trzech, potem pięciu, a w krótkim czasie nawet najoporniejsi przyszli z prośbą, aby ich także objąć treningami. W ten sposób zdobyłem zaufanie całej pierwszej drużyny, jak i drużyn młodszych.

Z rozpoczęciem sezonu jesiennego zarząd klubu w pełni i z wdzięcznością uznawał moje wysiłki. Daleki jestem od twierdzenia, że dobry poziom był moją zasługą, lecz nie dopuściłem do tego, aby nauka Koźelucha poszła na marne. Dokładałem starań, aby zawodnicy poczynili dalsze postępy. Toteż wyniki były całkiem dobre, bo zdobyliśmy mistrzostwo Małopolski. Cofnąć się jednak muszę do miesięcy wiosennych 1913 roku.

Śmierć prezesa Kopernickiego w czerwcu 1913 roku okryła klub głęboką żałobą. Zajął się klubem jako człowiek, który do tego czasu trzymał się z dala od sportu. Podjąwszy się zadania, które było wtedy i trudne, i niewdzięczne, wziął się do pracy z pasją. Dbał o stronę sportową, ale zdawał sobie sprawę, że sport wymaga wkładów pieniężnych, a klub może się rozwijać tylko w oparciu o własny warsztat pracy. Kontrolował więc pracę organizacyjną i śledził postępy istniejących dwu sekcji. Nie zaniedbywał żadnej okazji, aby pomnażać fundusze i doprowadzić do budowy własnego boiska. Mógł przeto słusznie chlubić się tym, że dzięki jego staraniom Kraków otrzymał pierwsze boisko sportowe, które dzisiaj nazwano by stadionem. Widząc dotychczasowe bezowocne wysiłki klubu, aby uzyskać z zarządu miasta potrzebne tereny, rozglądając się na własną rękę za odpowiednim umiejscowieniem planowanego boiska. Zabiegi zostały uwieńczone korzystną pod każdym względem umową z Konwentem Norbertanek, które wydzierżawiły nam tzw. łąki zwierzynieckie, gdzie co prawda w znacznie zmniejszonej powierzchni — znajduje się dziś stadion biało-czerwonych. W ostatnią niedzielę marca 1912 roku odbyło się uroczyste otwarcie „Parku Gier KS Cracovia”, którego plany opracował znany architekt krakowski Mączyński. Żałować należy, że plan parku gier, który był budowany przed przeszło pół wiekiem, nie został w inny sposób rozpracowany. Ale wtedy nie było architektów, którzy by zajmowali się tematyką budowli sportowych, a projektantowi arch. Mączyńskiemu należała się wdzięczność za jego bezinteresowność. Pierwotne plany, jak zresztą i wiele innych dokumen-

tów, zaginęły w czasie zawieruchy dwu wojen światowych. Widownia składała się z skromnej trybuny drewnianej na 300 miejsc siedzących, mieszczącej także i szatnię, oraz niewielkiego wzniesienia na miejsca stojące. Boisko okolone było terenem przygotowanym pod bieżnię lekkoatletyczną, a ogrodzenie w wysokości 1 metra oddzielało je od publiczności. Równoległe do boiska głównego urządzono boisko treningowe, którego rozmiary i nawierzchnia w niczym nie ustępowały głównemu. Z ulicy Żabiej przeniesiono i rozbudowano budynek szatni tenisowych, w których mieściła się oprócz kas biletowych szatnia piłkarska i pomieszczenia gospodarcze.

Zapowiadał się doskonale rok 1914. W rozgrywanym mistrzostwie prowadziła pewnie Cracovia, miała też na swym koncie zwycięstwa z dobrymi drużynami austriackimi i czeskimi, ale rozwój nie ograniczał się do sekcji piłki nożnej. Zbudowano dla sekcji tenisowej 4 świetne korty. Zajęto się poważnie pierwszą w Krakowie sekcją lekkoatletyczną, budując bieżnię lekkoatletyczną wokół boiska piłkarskiego. Wybuch pierwszej wojny światowej zahamował rozpęd, wróżący piękną przyszłość. Niemalą zasługę w rozwoju klubu należy przypisać nowemu prezesowi Kazimierzowi Jurjewiczowi, który po śmierci Kopernickiego objął kierownictwo klubu. Zainteresował go Cracovią Kopernicki. Jurjewicz, z bogatej rodziny z za kordonu, zadomowił się w Krakowie i dzięki nazwisku tudzież sytuacji materialnej obracał się w kołach krakowskiej arystokracji. Wśród bywalców ekskluzywnej restauracji w krakowskim Grand Hotelu zebrał poważną kwotę przeznaczoną na budowę boiska, co umożliwiło następnie zrealizowanie „parku gier”. Kiedy objął prezesurę Cracovii nie był już analfabetą sportowym. Zorientował się szybko w pracy, zwłaszcza że przewodził zarządowi, który był jednym z najszcześliwiej dobranych w ciągu wieloletniego istnienia klubu. W skład wchodził m. in. profesorowie III Gimnazjum im. Sobieskiego, Jan Stach jako wiceprezes oraz Józef Figna i dr Franciszek Fuchs. Wybitnie pomagali dyr. Jan Kowalski, któremu należy się osobna wzmianka, dr Kirchmayer i inni. Młodszy byli reprezentowani przez Wojakowskiego, który objąwszy po moim wyjeździe funkcje sekretarza, spełniał te obowiązki do chwili opuszczenia Krakowa. Ponadto Jachieć, Tadeusz Zabierzewski jako kierownik sekcji tenisowej i ja. Zebrania zarządu odbywały się w mieszkaniu prezesa regularnie co tydzień. Nowy prezes, kawaler, w wieku około 35 lat, był człowiekiem nerwowym, łatwo się zapalał, ale zapał trzeba było umiejętnie podtrzymywać. Rezultaty sportowe i finansowe były naprawdę doskonałe, klub zyskiwał w swym rozwoju coraz szersze podstawy, przeto prezes mógł być dumny ze swych osiągnięć. Z wybuchem wojny Jurjewicz wyjechał za granicę i zmarł tragicznie jeszcze przed końcem wojny.

Kilka słów należy się dyrektorowi Gimnazjum Sobieskiego Tomaszowi Sołtysikowi. Uczniom szkół średnich było surowo wzbronione uczestnictwo w klubach sportowych, a o grze w piłkę nożną w drużynach sportowych nie można nawet było wspominać. Dyrektor Sołtysik, jakkolwiek zakaz był wydany przez Krajową Radę Szkolną, przymykał na to oczy, wiedząc, że uczniowie jego zakładu należą do naszego klubu. Był więc pierwszym w Krakowie kierownikiem szkoły średniej, który nie sprzeciwiał się, aby jego uczniowie

poza szkolną gimnastyką uprawiali sport. Gdy zaś członkowie grona nauczycielskiego jego szkoły weszli w skład zarządu naszego klubu, zezwolił oficjalnie, aby uczniowie zapisywali się do Cracovii. Toteż mieliśmy m. in. dwie drużyny składające się wyłącznie z uczniów „Sobka”. Wielu z nich zaawansowało następnie do naszej pierwszej drużyny a poza tym do reprezentacji Krakowa i Polski.

Wspominałem już, że świetnie zapowiadający się rozwój klubu, odzwierciedlający się przez zbudowanie bieżni lekkoatletycznej i uruchomienie nowych kortów tenisowych, wstrzymała pierwsza wojna światowa. Członkowie zarządu i zawodnicy zostali zmobilizowani do armii austriackiej, bądź też wstąpili do organizujących się legionów. Opustoszał park gier, tak jak opustoszał Kraków, którego ewakuację zarządziły władze wojskowe. Miasto Kraków stało się zapleczem armii austriackiej i niemieckiej. Bez przerwy przeciągały przez Kraków, który był fortecą, oddziały wojskowe obozujące przejściowo także i na Błoniach. Front rosyjski był bliski, bo dochodził przez pewien czas aż pod Wieliczkę.

I ja „zwiedziłem” wschodnie Karpaty, a gdy po roku „superarbitrowany” powróciłem do Krakowa, pierwsze kroki skierowałem na Błonia. Płakać się chciało, gdy zobaczyłem, w jakim stanie znajduje się nasz z takim trudem osiągnięty dorobek. Z parkanu, który otaczał przeszło 10-hektarowy teren — ani śladu. Z trybuny sterczały smutne resztki. Z bogatego inwentarza mizerne szczątki. Korty tenisowe zniszczone, boiska piłkarskie zapuszczone.

Trzeba było zakasać rękawy i zabrać się do roboty, niepodobna było bowiem biernie przypatrywać się ruinie. W pierwszym rzędzie uruchomiliśmy korty tenisowe, gdyż przynosiły one pewien, niewielki zresztą dochód. Po rozpoczęciu roku szkolnego, kiedy dostęp do Krakowa był możliwy, gdyż front przesunął się na wschód, można było myśleć o wznowieniu gry w piłkę nożną. Zebrałem drużynę z uczniów gimnazjalnych oraz ze zwolnionych z wojska i przebywających w Krakowie na urlopie lub też w szpitalach. Wkrótce na głównym boisku uganiały dwie drużyny, odziane i obute byle jako, ale dla „pierwszej” drużyny znalazły się biało-czerwone koszulki.

Za przykładem Cracovii poszli i inni, toteż ożywiły się Błonia, na które wyszli chłopcy w wieku przedpoborowym. Ciekawie przedstawiała się „moja” pierwsza drużyna. Na jedenastu zawodników tylko 10 par oczu. Szeligowski na prawym skrzydle nie miał prawego oka, a Obalt na lewym — lewego. Na prawym łączniku Michał Sznajder, cierpiący na padaczkę, którego przed zawodami należało karmić środkami uspokajającymi, gdyż zdarzało się, że otrzymawszy piłkę, kierował się z nią ku własnej bramce. Ale szczęście nie opuszczało naszych barw. Kopiącymi zainteresowali się oficerowie austriaccy, pełniący w Krakowie służbę garnizonową, a w szczególności kibic sportowy oberlejttnant Erwin Engel. Wiedeńczyk, właściciel księgarni na jednej z głównych ulic stolicy naddunajskiej, obdarzony nie opuszczającym go humorem, z wieczną „wirdzinią” w ustach, nieco mniej niż średniego wzrostu, z pokaźnym brzuszkiem, pełnił w Krakowie służbę oficera administracyjnego w jednym z wojskowych szpitali. Wkrótce powierzono mu funkcję naczelnego redaktora ukazującej się w czasie wojny w Krakowie „Krakauer Zeitung”. Przy-

szedł kilka razy na nasz trening i z miejsca poczuł do Cracovii sympatię, która niebawem zamieniła się w ofiarną przyjaźń. Engel bowiem wyświadczył zarówno klubowi, jak i mnie, w pojedynkę borykającemu się z trudnościami, bezcenne usługi.

Komendantem fortecy Kraków (Festungskommandant) był k. u. k. Feldzeugmeister (generał artylerii) Kuk. Jego ekscelencja w życiu domowym był zwyczajnym pantoflarzem. Głos miała jedynie i decydowała jej ekscelencja pani Amalia Kukowa. Z jej stanowiska wynikało, że była przewodniczącą krakowskiego koła *Witwen und Waisenfond* — Funduszu Wdów i Sierot wojennych. Otóż porucznik Engel, który był jeszcze doskonałym organizatorem, umiał się wkraść w łaski pani Amalii i stał się jej prawą ręką w urządzaniu wszelkich imprez, którym patronowała na dochód owego Funduszu. W odbywających się w kasynie oficerskim wieczorkach występował jako konferansjer, mówił monologi itd. (Nawiasem wspomnę, że po wojnie występował z dużym powodzeniem w kabaretach niemieckich). Otóż Engel zaproponował mi, aby urządzić zawody lekkoatletyczne, w których udział wzięliby zawodnicy Cracovii oraz bawiący w Krakowie wojskowi. Dochód z tej imprezy, która się odbyła, przeznaczony był na wspomniany fundusz, a zawody „uświętnili” swą obecnością „jego i jej ekscelencja”. Wobec braku trybuny, na tle jej resztek ustawiono ogrodowy kolorowy parasol i szereg krzeseł dla co dostojniejszych gości. Parkan zastąpiła gęsto ustawiona żandarmeria wojskowa i policja. W następną niedzielę w takim samym sztafażu odbył się mecz piłki nożnej między drużyną Cracovii a drużyną wojskową. Engel zdołał wytłumaczyć pani Kuk, że częste urządzanie zawodów sportowych może przynieść duże korzyści dla Funduszu Wdów i Sierot, lecz należałoby w tym celu ogrodzić boisko i odbudować zniszczoną przez wojsko trybunę. Zabrał mnie na audiencję do pani Amalii i w kilka dni potem otrzymałem polecenie, aby zgłosić w wojskowym urzędzie budownictwa zapotrzebowanie na materiał i pracowników. Niebawem zawrzała na boisku gorączkowa praca. Kierownikiem robót był feldfebel (sierżant) wiedeńczyk, zwolennik piłki. Od razu po wejściu na teren budowy zwrócił mi uwagę, że trybuna jest maleńka, a wobec tego, że sprawy popierają najwyższe czynniki wojskowe, można sobie pozwolić na przekroczenie limitu i powiększyć trybunę. Zrozumiałe, że z mojej strony nie napotkał na sprzeciw. Za papierek dwudziestokoronowy stanęła w ciągu dwu tygodni odbudowana trybuna, mieszcząca jednak nie 300 lecz 1000 miejsc siedzących. Powiększono i przedłużono, obok środkowej trybuny w jej pierwotnym kształcie, oba skrzydła. Zrozumiałe, że i parkan odbudowano na starym miejscu.

W trzecim roku wojny, tj. w 1916, zacząłem poważnie zastanawiać się nad wyprowadzeniem piłkarzy na szersze wody. Mimo wojny grano w Budapeszcie, Wiedniu, Pradze, tam bowiem wielkie kluby potrafiły zatrzymać wybitniejszych graczy, zwalniając ich im wiadomymi ścieżkami od wysyłki na front. Trudności wydawały się początkowo nie do przewyciężenia, ale mimo to udało się sprowadzić do Krakowa budapeszteńską drużynę Nemzeti. Z lwowską Pogonią wygraliśmy we Lwowie 2 : 0, a w Krakowie 5 : 0.

Następny, 1917 rok, przyniósł krakowianom wiele emocji sportowych.

Możliwe to było, gdyż Engel przez komendę twierdzy wysyłał do dowództwa, gdzie odbywali służbę wojskową piłkarze, telegramy, że na zawody sportowe lub w święto sportowe, na cele Funduszu Wdów i Sierot ma się stawić taki a taki zawodnik. Niekiedy trzeba było aż kilku telegramów, aby zakontraktowana drużyna stanęła w kompletnym, pierwszym składzie na krakowskim boisku. O jakimś haraczu na rzecz wspomnianego Funduszu mowa była tylko w depeszy, gdyż nic nie odprowadzało się z wpływów. Ułatwienie olbrzymie, chociaż sprawa nie zawsze przebiegała gładko. Finanse odgrywały nie małą rolę. Prawda, że publiczność, pozbawiona innych rozrywek, tłumnie uczęszczała na mecze i nie można było narzekać na brak środków. Ale ta sama publiczność żądała atrakcyjnych zawodów, a nie zawsze można było ściągnąć do Krakowa drużyny, które by zadowolili wymagania i cieszyły się taką marką, aby widownia była pełna. Musiałem zatem, choć niechętnie, sięgać do reklamy. „Reklama dźwignią handlu” — to hasło miało zastosowanie także i w sporcie. Redagowałem więc komunikaty dla prasy w tonie, który by przyniósł laury szefowi reklamy prowincjonalnego cyrku. Gościliśmy w tym okresie drużynę czeską z Moraw. Pomimo zapewnień, że jest to drużyna jedenastki asów piłkarskich, rozgromiliśmy ją w stosunku 14 : 1. W dwa tygodnie później, kiedy mieliśmy grać również z drużyną czeską, a zachodziła obawa, że na widowni będą pustki, ukazała się w komunikatach wiadomość, że przyszły nasz przeciwnik „wyzwał” Cracovię, aby pomścić klęskę bratniego klubu i zrehabilitować nadszarpniętą opinię piłkarzy morawskich. Chwył był właściwy. Gdy i ta drużyna schodziła z boiska pokonana w dwucyfrowym stosunku, część widzów wymyślała, większość jednak, która przyjęła drukowane słowo za dobrą monetę, była zadowolona, że „wyzwanie” zakończyło się kompromitującą porażką zarozumiałych gości.

Pomijając jednak takie sporadyczne wypadki, kiedy to sezon musiało się czymś zapełnić, trzeba stwierdzić, że przeciwnicy biało-czerwonych stanowili przeważnie dobrą klasę. Ponieważ w drodze korespondencyjnej nie zawsze można było załatwić sprawę zaangażowania obcego klubu na zawody, przeto trzeba było jeździć do Wiednia, czy Budapesztu, gdyż drużyny w tych miastach zachowały przedwojenny poziom i były najchętniej przez krakowską publiczność witane. Jak się czasami przedstawiały takie pertraktacje, niech posłuży następujący charakterystyczny, a zarazem śmieszny fakt. Zajechałem z Wiednia, gdzie udało mi się znaleźć chętnych na zawody w Krakowie, do Budapesztu. W węgierskim związku piłki nożnej, gdzie prosiłem o pomoc, poradzono mi, że najlepiej będzie odszukać we wskazanej kawiarni w śródmieściu członków zarządu doskonałego pierwszoklasowego klubu, z którym Cracovia jeszcze nie grała. Udałem się pod wskazany adres i szczęśliwym trafem zastałem tam członków prezydium. Rozmowy przewlekały się, zanośliło się na fiasko. Wtedy sięgnąłem do argumentu, który dotychczas nie znajdował należytego oddźwięku. Wyłożyłem na stół portfel, pozornie dla zapłacenia mego rachunku. Skierowałem potem ponownie rozmowę na kwestię finansową, wreszcie na widok wystającego różka grubego banknotu serce prezesa nie oparło się pokusie. Targ został natychmiast dobity, umowa spisana i podpisana z tym, że w sposób już opisany gracze wojskowi zostaną wezwani

do Krakowa. Po powrocie do lokalu związku, dokąd w międzyczasie dotarła wiadomość o transakcji, bez większego już trudu zaangażowałem jeszcze inną drużynę, naturalnie na warunkach, o których telefonicznie doniesiono.

Engel pomagał w wielu innych sprawach. I tak dzięki jego interwencji przedłużano urlopy przebywającym w Krakowie naszym zawodnikom służącym w armii austriackiej, przetrzymywano ich w szpitalach wojskowych, chociaż byli zdrowi, by tylko umożliwić im branie udziału w zawodach. Toteż gdy w listopadzie 1918 roku, po upadku monarchii austro-węgierskiej, żegnał się Engel z naszym miastem, podziękowaliśmy mu serdecznie za okazaną pomoc, a na najbliższym walnym zgromadzeniu klubu uchwalono jednomyślnie ofiarować mu w uznaniu zasług wykonaną w złocie odznakę Cracovii. Przyjął ją szczerze wzruszony podczas jednego z pobytów klubu w Wiedniu.

Nie sposób pominąć w tym miejscu dwu skromnych oficerów farmaceutów Liwosza z okolic Przeworska i Winnickiego z Cieszyńskiego. Na krakowskim dworcu towarowym funkcjonowała w czasie pierwszej wojny tzw. Krankenhaltstation — punkt, przy którym zatrzymywały się pociągi wiozące chorych i rannych, a także transporty zdążające na front. Wszystkich żołnierzy poddawano tam badaniu lekarskiemu. Obaj wymienieni pracowali w aptece tego punktu sanitarnego, przywiązali się do Cracovii i pomagali, narażając się często co najmniej na bardzo nieprzyjemne konsekwencje. Ułatwiali bowiem naszym piłkarzom, przewożonym w pociągach wojskowych, pozostanie w Krakowie, drogą przeniesienia do szpitala, gdzie już dzięki stosunkom można było zbiegów zatrzymać na dłuższy czas. Niejeden piłkarz, zawdzięczał im zdrowie, a może i życie. Ponadto w okresie, kiedy w warunkach wojny trudno było o nabywanie inwentarza, zaopatrywali drużyny z zapasów wojskowych w spodenki, ręczniki, onuce — naturalnie bezinteresownie.

Po pierwszych trudnych miesiącach odbudowy sportu i klubu dalsze lata były już lżejsze, jakkolwiek niełatwe, gdyż do roku 1913 pomagał mi tylko odbywający służbę wojskową w Krakowie Wojakowski. Cracovia dysponowała kilku drużynami, składającymi się z młodych zawodników. W pierwszej grywali chłopcy, którzy przejściowo tylko przebywali w Krakowie lub też byli zwolnieni z wojska, względnie znajdowali się w wieku przedpoborowym. Grało też i trenowało kilku zawodników „Wisły”, którzy bez oporu pozostaliby na stałe w naszym klubie, uważałem jednak, że nie należy rozbijać konkurenta, gdyż pozbawienie go najwybitniejszych zawodników mogło oznaczać pogrzebanie Wisły, z której boiska wzniesionego w Oleandrach z wiosną 1914 roku nie pozostał nawet ślad. Mimo nalegań nie dałem tym zawodnikom do podpisania kart zgłoszeń do związku, co byłoby równoznaczne z ich zaprzęciem się Cracovii.

W ostatnim roku wojny pojawiły się próby przywrócenia życia organizacyjnego w klubie do normy. Bez walnego zgromadzenia — bo w owym czasie było to nie do przeprowadzenia — ukonstytuował się zarząd, na czele którego, jako prezes, stanął prof. Jan Stach. Sekretarzem nieodmiennie Wojakowski, a skład uzupełniało kilka osób przebywających w Krakowie. Niemniej przeto warunki pracy uległy tylko małej zmianie. Przecież oko-

liczności były tego rodzaju, że o jakiejś normalnej, regularnej pracy nie można było myśleć. Wszystko musiało być dostosowane do panującej w danym momencie atmosfery. Na szczęście i wojna musiała się skończyć. Okres pokoju i budowanie niepodległego państwa musiały znaleźć odzwierciedlenie także i w ruchu sportowym, którego nie można już było traktować w odizolowaniu od ogólnych zagadnień społecznych.

U nas w klubie zaczęło się od wyszukania właściwego człowieka na godność prezesa klubu. Sprawa nie była łatwa, ale szczęście i tu dopisało Cracovii: prezesem został dr Edward Cetnarowski. Chodziły głosy, że już poprzednio interesował się sportem, w szczególności piłką nożną, i że uczęszczał na zawody piłkarskie, jednakże był właściwie w sporcie człowiekiem zupełnie nowym. Musieliśmy go wtajemniczać w zagadnienia organizacyjne, uświadamiać w stosunkach międzynarodowych, gdyż nawet w okresie wojennym nie zaniechaliśmy tych spraw. Dr Cetnarowski okazał się bardzo pojętym uczniem. O jego działalności jako prezesa Cracovii napisano i powiedziano tak wiele, że nie chciałbym powtarzać tego, co chyba jest notorycznie znane. Wypada jednak nadmienić, że obejmując mandat prezesa natrafił w zarządzie Cracovii na grono osób, które już niejednokrotnie wykazały swe przywiązanie do klubu i które służyły mu siłą, wiedzą i doświadczeniem. W zarządzie pojawiły się nazwiska, które już przed wojną zapisały się chlubnie w historii klubu i dawały porękę, że linia pracy będzie w dalszym ciągu utrzymana na odpowiednim wysokim poziomie. W pierwszym rzędzie należy tu wymienić dyr. Jana Kowalskiego, który od zarania opiekował się młodymi piłkarzami. Jeszcze w kadencji prezesury Kopernickiego spełniał obowiązki wiceprezesa i funkcją tą obarczano go przez długie lata. Po drugiej wojnie obdarzono go w uznaniu zasług godnością prezesa honorowego. Nie uchylili się od współpracy trzech wspomnianych już profesorów gimnazjum Sobieskiego: Jan Stach, Józef Figna i dr Franciszek Fuchs. Do ich grona dołączył się prof. Wacław Babulski — stary wierny kibic biało-czerwonych; dyr. banku Hugo Groyecki oraz kupiec Antoni Surowiecki, jeden z najstarszych członków klubu, stanowili gwardię finansową.

Wojna jeszcze trwała, a już niektórzy działacze podjęli myśli, zasiane w latach przedwojennych, o Polskim Związku Piłki Nożnej, który miał objąć obszar niepodległego państwa. Toteż gdy przeminęły pierwsze gorączkowe miesiące organizowania politycznego, zupełnie samorzutnie, bez jakiegokolwiek inicjatywy z zewnątrz, przystąpiłem z dr Janem Weyssenhoffem, dzisiaj profesorem UJ do opracowania Projektu Statutu Polskiego Związku Piłki Nożnej. Z perspektywy lat nie łatwo przedstawić trudności towarzyszące takiej pracy. Trzeba było przemyśleć dzieło, które u nas nie miało precedensu. W pokoju, który zajmował dr Weyssenhoff w Collegium Physicum, przez długie godziny toczyły się dyskusje nad znalezieniem właściwych form organizacyjnych. Wzorów zagranicznych nie można było przejmować „żywcem”. Kilkumiesięczne rozważania — każdy paragraf, przed naniesieniem na papier w ostatecznej postaci, omawiało się z punktu widzenia czy i jak udaremnić jego obejście — zakończyły się pomyślnie. Pomyślnie z tego względu, że konstytuujące się Walne Zgromadzenie, które odbyło się w grudniu 1919 roku w War-

szawie, przyjęło nasz projekt po krótkiej dyskusji prawie bez zmian. Siedzibą Związku wyznaczono na trzy lata Kraków. Pierwszym prezesem związku został prezes Cracovii dr Cetnarowski, który piastował tę godność aż do roku 1928 tj. do chwili przeniesienia siedziby Związku do Warszawy. W roku 1960 obchodzono w Warszawie 40-lecie istnienia P. Z. P. N. Autorzy projektu statutu mieli prawo do uzasadnionego zadowolenia. Wprawdzie w ciągu czterech dziesięcioleci wprowadzono do pierwszego statutu zmiany, konieczne dla dostosowania do zmieniających się warunków, ale zasadniczą koncepcja, podstawowe założenia, na których opiera się najpotężniejszy związek sportowy w Polsce — zdał egzamin.

Świeży związek — nowa praca. Dr Weysenhoff przeniósł się na uniwersytet wileński, gdzie otrzymał katedrę fizyki, po nim objąłem sekretariat związku. Zbyt wiele miejsca zajęłoby wyliczanie pierwszych trudności organizacyjnych. Byli działacze, lecz za cały kapitał służyła tylko olbrzymia chęć pracy, cechująca ongiś pionierów sportu; poza tym brakło wszystkiego. Był skarbnik, ale w skarbie nie było pieniędzy, właśnie w tym okresie tak potrzebnych. Lokal mieścił się kątem w prywatnych mieszkaniach. Pomimo to na wiosnę 1920 roku zaczęto przygotowywać drużynę polską do udziału w olimpiadzie. Przygotowania te nazwano później „olimpiadą u Kosza” od restauracji Kosza przy ul. Grodzkiej, gdzie przyszli olimpijczycy spożywali posiłki. Zgrupowanie piłkarzy odbywało się w Krakowie. Zebrano około 20 piłkarzy spoza Krakowa i zakwaterowano w jednej ze szkół. Zawodnicy niekrakowscy rozjeżdżali się w soboty do swych klubów, gdyż w toku były rozgrywki mistrzowskie. Idylla skończyła się po kilku tygodniach. Fundusze przeznaczone na wyjazd na olimpiadę, w której, że nawiasem wspomnę, drużyna polska miała poważne szanse na zajęcie dobrego miejsca, zostały zużyte na sfinansowanie wyjazdu delegacji państwowej z min. Grabskim na czele, na konferencję w Spaa. W pamięci jednak uczestników zgrupowania pozostała „olimpiada u Kosza”.

Dzięki węgierskim przyjaciółom Cracovii i rezultatom białoczerwonych, osiągniętych z najlepszymi drużynami węgierskimi, związek węgierski zaprosił drużynę polską w grudniu 1921 roku do Budapesztu. Mecz zakończył się nieznacznym zwycięstwem Węgrów 1 : 0. W następnym roku wypłynęła reprezentacja Polski na szersze wody. Na wiosnę odbył się rewanż z Węgrami w Krakowie. Zawody przyniosły przegraną Polski 3 : 0, ale też rekordową jak na owe czasy frekwencję przeszło 10 000 widzów. Przyczyną klęski był niezbyt szczęśliwy skład drużyny, którą zestawiała trójka Ziemiański Stanisław, Obruński, Lustgarten Józef. Należałem do tej trójki ale byłem przegłosowany. Niedługo potem odbyły się zawody ze Szwecją w Sztokholmie. Moi koledzy z trójki, tym razem pod wpływem porażki z Węgrami, zgodzili się na mój projekt. Drużyna polska, którą prasa warszawska, urażona brakiem zawodników stołecznych, nazwała drużyną nie tyle reprezentacyjną ile kompromitacyjną, zwyciężyła w stosunku 2 : 1. Rezultat wywołał w świecie sportowym mały huczek, a w niewielkiej kolonii polskiej niezmierną radość. W niecodziennych okolicznościach doszedł do skutku następny mecz międzypaństwowy. W zarządzie Polskiego Związku na skutek nieporozumień ustąpiła część człon-

ków. Zarząd był kadłubowy, a że działo się to w okresie wakacji, przeto w Krakowie byłem jako sekretarz związku osamotniony. W ostatnich dniach sierpnia zgłosił się u mnie w mieszkaniu nieznany mi pan. Wylegitymował się jako przedstawiciel rumuńskiego związku piłki nożnej i przedstawił zaproszenie reprezentacji polskiej na międzypaństwowy mecz z Rumunią. Zawody przewidziane były w Czerniowcach z okazji wielkiego święta sportowego połączonego z jubileuszem kilkunastuletniego istnienia miasta. Protektorat nad uroczystościami objął następca tronu, późniejszy król rumuński Karol, który osobiście miał przybyć do Czerniowiec. Panu doktorowi Wagnerowi — tak nazywał się wysłannik rumuński — wyjaśniłem z miejsca m. in., że nie mam uprawnienia do podejmowania decyzji, oraz że uważam za niemożliwe przygotowanie takiego spotkania w przeciągu zaledwie kilku dni. Dr Wagner długo upierał się przy propozycji, a gdy nie ustępowałem, pożegnał się ze mną z tym, że w najbliższych dniach odwiedzi mnie znowu. Gdy w dwa dni po tej rozmowie załatwiałem sprawy w sekretariacie związku, który mieścił się w udzielonym nam grzecznościowo lokalu firmy spedycyjnej w pałacu „Pod Baranami”, odezwał się niebywale alarmujący sygnał telefonu międzymiastowego. Okazało się, że dzwoni z Warszawy Ministerstwo Spraw Zagranicznych. Rozmówca mój przedstawił się jako radca Ministerstwa, nazwiska nie pamiętam, i w tonie nie znoszącym sprzeciwu przekazał mi polecenie Ministerstwa, by nasza reprezentacja wzięła udział w spotkaniu w Czerniowcach. Rozmówca nie uznał moich sprzeciwów i argumentacji, odpowiadając niezmiennie: „Zawody muszą się odbyć, taka jest decyzja najwyższych czynników”. Nazajutrz otrzymałem pisemne potwierdzenie tego nakazu na blankiecie i z pieczęciami MSZ. Z miejsca przeto wysłałem telegramy do tych klubów, których zawodnicy wchodziłi w rachubę do reprezentacji. Tylko poznańska Warta i warszawska Polonia dały pozytywną odpowiedź. Wszyscy inni wymówili się wcześniej zawartymi umowami. Nie starczyło zatem ludzi na złożenie drużyny, która by choćby w przybliżeniu reprezentowała poziom naszego sportu i nie przyniosła nam wstydu. Trzeba było sięgnąć do Cracovii, z dużą niechęcią, bo nie wolno jej było odmówić z dawna zakontraktowanego wyjazdu na jubileusz naszego pierwszego przeciwnika — Bielitz-Bialaer Sportverein. Zgodzono się ostatecznie na udział pięciu zawodników w drużynie narodowej. Czterech „Warciarzy”, jeden „Warszawiak” i pięciu graczy Cracovii to dopiero dziesiątka. Pozostawało rozpaczliwe szukanie jedenastego i w jak najkrótszym czasie zdobycie paszportów. Tu już nawet MSZ nie pomogło. I znowu w sukurs przyszła Cracovia. Mieliśmy w klubie paszporty z ostatnich wyjazdów za granicę. Nie namyślając się długo udałem się do dyrekcji policji w Krakowie i okazując pismo ministerstwa uzyskałem prolongatę ważności piętnastu paszportów na wyjazd do Rumunii. W poselstwie rumuńskim w Warszawie wizy zostały wydane odręcznie. Pozostawała jeszcze sprawa sfinansowania wyjazdu. Skarbnik związku bawił na urlopie i tylko prywatna pożyczka załatwiła tę stronę ekspedycji. Rozesłałem telegramy zawiadamiające zawodników spoza Krakowa, kiedy się mają u nas zgłosić. W ostatniej chwili po prostu na ulicy zwerbowałem jedenastego gracza. Był to Dużniak — członek krakowskiej B-klasowej „Olszy”. Rezerwowego nie było. Z tą garstką wybraliśmy się

w drogę, w czasie której gracze uczyli się, jak się według paszportu nazywają. Na szczęście straż rumuńska, której oddałem całą paczkę paszportów, wywołała tylko nazwiska, nie przypatrując się bliżej wywołanym. Dojechano więc do Czerniowiec bez dalszych perypetii. Zawody na niezbyt reprezentacyjnym boisku miały zupełnie nieoczekiwany przebieg. Na wstępie jednak nie mogę pominąć, że na widowni był rzeczywiście następca tronu, któremu mnie przedstawiono i który — jak należało oczekiwać — wyrzekł kilka „łaskawych słów” pod naszym adresem po czym pozostał w łoży do końcowego gwizdka.

Drużyna polska, zwłaszcza napad, zagrała w pierwszej połowie z takim zapałem i temperamentem, że drużyna rumuńska, w skład której wchodziło ośmiu Węgrów, rzadko tylko przechodziła na naszą połowę. Rumuni mieli jednak niebywałe szczęście i do przerwy rezultat brzmiał 1:0 na naszą korzyść. Po przerwie napad polski, który sforsował się w pierwszej połowie, grał nieco słabiej i drużyna rumuńska częściej dochodziła do głosu. Wyrównująca jednak bramka, którą uzyskała, była raczej zasługą kretowiska, na którym piłka zmieniła kierunek, i zaskoczono tym naszego bramkarza. Wieczorem wielki bankiet w kasynie oficerskim w obecności następcy tronu. Wobec tego, że zaproszono tylko mnie, a nie proszono drużyny, uznałem za stosowne pozostać z moimi zawodnikami i razem z nimi dzielić serdeczną gościnę w polskim „Ognisku”.

Wielkie wrażenie wywołało zwycięstwo Polski w pierwszym spotkaniu z Jugosławią, które odbyło się niedługo po meczu z Rumunią. Według oceny jednego z krakowskich tygodników sportowych* najlepszym z całej drużyny polskiej miał być jakoby tylko proporzec dla związku jugosłowiańskiego. Do tego stopnia sięgało zaciętrzewienie redaktora notatki, niezadowolonego z faktu, że w drużynie nie było żadnego zawodnika z klubu, którego był zwolennikiem.

Do Jugosławii jechaliśmy przez Wiedeń, gdzie austriacki kapitan związku, słynny Hugo Meisl, znakomity znawca futbolu, przygotował mnie na porażkę, oceniając wysoko poziom piłki jugosłowiańskiej. Gdy po zakończeniu zawodów proszono mnie z Wiednia do telefonu, aby podać dla prasy rezultat, musiałem kilkakrotnie powtórzyć, że Polska wygrała 3:1, gdyż rozmówcy nie dowierzali moim zapewnieniom, że taki jest faktyczny wynik. W drodze powrotnej zwrócił się do mnie, oczekujący nas na dworcu w Wiedniu ten sam Meisl z zapytaniem, jak to się stało, że pobiliśmy Jugosłowian, podczas gdy spece piłkarscy byli przekonani, że będzie na odwrót.

Tygodnik krakowski, o którym powyżej wspomniałem, przyjął zwycięstwo drużyny polskiej wcale chłodno, nie mogąc podejść obiektywnie do tego sukcesu.

Wyjeżdżała poza tym Cracovia m. in. do Paryża, gdzie wzięła udział w turnieju urządzanym przez paryski klub Racing. Po zawodach ówczesny ambasador Polski we Francji — o ile się nie mylę hrabia Chłapowski — urządził przyjęcie, na które zaproszono także członków kolonii polskiej w Pa-

* Mowa o „Wiadomościach Sportowych” zwanych popularnie „smrodliwościami sportowymi”.

ryżu, należących do arystokratycznych kół. W czasie bankietu dostało się naszemu zawodnikowi Edwardowi Strycharzowi miejsce przy stole obok hrabianki Zamoyskiej. Strycharz, typ krakowskiego andrusa ze Zwierzyńca, obdarzony wszystkimi zaletami cechującymi tę zanikającą specjalność Krakowa, umiał się zachować w każdej sytuacji. Arystokratyczne towarzystwo nie za imponowało, ani też nie speszyło „króla przedmieścia”. Zajął się swą sąsiadką zabawiając ją, a gdy w trakcie rozmowy zdziwiona, że piłkarz może być tak doskonałym towarzyszem, zapytała o jego zawód, odpowiedział zgodnie z prawdą, że jest malarzem. Potoczyła się rozmowa o malarstwie, przy czym Strycharz nawiasem tylko podał, że jest wprawdzie malarzem, ale pokojowym. Można sobie wyobrazić zdumienie panny Zamoyskiej. Malarz pokojowy i lakiernik, piłkarz, a jednak człowiek, który umie się znaleźć na poziomie urodzonego salonowca. Oświadczyła też, że rzadko można spotkać tak interesującego rozmówcę, jak jej sąsiad przy stole biesiadnym.

Zawodnicy Cracovii niejednokrotnie mieli okazję zademonstrować, że piłkarz to nie tylko osobnik umiejący lepiej lub gorzej kopać piłkę, ale człowiek poziomem umysłowym i manierami dorównujący tym, którzy uważali sportowców za podlejszą kategorię rodu ludzkiego.

Byłoby błędem pominąć propagandowe zawody Cracovii podczas okresu plebiscytowego na Górnym Śląsku. Powróciłem z kolejnej wyprawy do Wiednia, dokąd w tym trudnym okresie wyjechałem celem zaangażowania jakiejś drużyny. Na krakowskim dworcu oczekiwano mnie niecierpliwie, by mi zakomunikować, że jeszcze tego samego dnia mam wyjechać z drużyną na Śląsk, gdzie na prośbę Komitetu Plebiscytowego mamy rozegrać kilka zawodów



z drużynami śląskimi; przy czym do mnie osobiście skierowano życzenie, abym podczas tych meczów sędziował. Żadnych bliższych szczegółów nie znałem. W przeciągu niewielu godzin musiałem porozumieć się z prof. Figną, który wtedy pełnił służbę w armii i jako Ślązak z urodzenia brał udział w pracach Komitetu. Profesor jednak wiedział niewiele więcej. Podał tylko, że będziemy oczekiwani w Mysłowicach, gdzie prawdopodobnie otrzymamy kwatery i wyżywienie. O jakimś odszkodowaniu pieniężnym nie było naturalnie mowy. Zebrałem drużynę i w drogę. Ale przejazd na teren plebiscytowy nie był zupełnie gładki. Na stacji w Szczakowej spędziliśmy pół dnia: kontrola paszportów, a następnie nie kończące się rozmowy telefoniczne z Krakowem, czy wolno nas wypuścić, oraz z Bytomiem, czy wolno nas wpuścić. W Mysłowicach zostaliśmy powitani gorąco przez przedstawicieli sportowego Śląska z niezmordowanym Budniokiem na czele. Przy kolacji dowiedzieliśmy się, że pierwsze zawody rozegramy na miejscu z polską drużyną „Słupna”; ostrzeżono nas, abyśmy na ulicach zachowali się bardzo ostrożnie i nie pozwalali sprowokować przez Niemców. Był to okres bezpardonowej walki i krwawych incydentów ulicznych. Od pierwszej chwili można było zauważyć, że jesteśmy bacznie obserwowani przez nieprzychylnych Niemców, a zarazem jesteśmy pod czujną jakkolwiek dyskretną ochroną Polaków.

Zwycięskie (3 : 0) zawody ze Słupną zgromadziły liczną publiczność. Wieczorem, podczas uroczystej kolacji, wygłosił Budniok serdeczne przemówienie, dziękując nam za przybycie. Nasz pobyt miał wykazać zarówno Polakom jak i Niemcom, że sport w Polsce stoi na wysokim poziomie i okoliczność ta ma stanowić w walce plebiscytowej jeszcze jeden argument za Polską. Wychwalając naszą drużynę Budniok stwierdził, że jesteśmy „o dwa piętra wyżej”, ale odniosłem wrażenie, że do pewnego stopnia jest rozczarowany. Nie mówił o tym, lecz wyczuwałem, że najlepszym argumentem jest duża ilość bramek. Toteż gdy zakomunikował, że następne spotkanie odbędzie się w Katowicach z drużyną, która jest niejako nieoficjalną reprezentacją Śląska, zadecydowałem, że należy wygrać wysoko. Takie też instrukcje otrzymała drużyna. Rezultat był odpowiedni — dwucyfrowka 13 : 0. To już zaimponowało.

W wolny dzień wybrałem się z Synowcem z kurtuazyjną wizytą do Komitetu Plebiscytowego w Bytomiu. Jego siedzibą, a raczej strzeżoną twierdzą był słynny hotel „Lomnitz”. Posła Korfantego nie zastaliśmy — przyjął nas kierownik działu sportowego dr Wilimowski. Podkreślił on moment propagandowy naszych zawodów, o których zresztą wszyscy wyrażali się w superlatywach, wliczając w to także prasę polską i — niemiecką. Wspominając o czekających nas zawodach w Lipinach, Wilimowski wyraził nadzieję, że zdołamy za pewne rozegrać je korzystnie, ale wyczuwało się, że wolałby wygraną o mniejszej ilości strzelonych przez nas bramek. Mecz wygraliśmy w stosunku 8 : 1, ale stwierdziliśmy ku naszemu zdumieniu, że publiczność była nam raczej nieprzychylna. Niemile wrażenia wyniesione przez nas z boiska starano się pokryć okazywaną nam serdecznością i prawdziwie polską gościnnością.

Zupełnie inny przebieg miała mieć nasza wyprawa w okresie plebiscytu na Śląsku Cieszyńskim. W zimie 1920/21 zawarliśmy umowę z czeskim klubem w Brnie, gdzie podczas świąt wielkanocnych mieliśmy rozegrać dwa mecze.

Rankiem w Wielką Sobotę wybraliśmy się w drogę. Do Oświęcimia dojechaliśmy w najlepszych humorach. Zdumiał nas tłum tłoczący się na peronach, ale zanim rozwiąaliśmy tę zagadkę, w drzwiach zajmowanego przez nas wagonu ukazała się grupa mężczyzn, którzy tonem nie znoszącym sprzeciwu kazali nam wysiadać. Oświadczyli mi następnie — jako kierownikowi — że na peronie znajdują się uchodźcy z części Śląska przyznanej Czechosłowacji, którzy kategorycznie sprzeciwiają się jakimkolwiek stosunkom sportowym z Czechami i żądają od nas powrotu do Krakowa. Nie pomogły żadne nasze argumenty. Pod naciskiem okrzyków i pogróżek rozgorączkowanego tłumu zostaliśmy zmuszeni do powrotu do Krakowa. Zarzucano nam tam, że pozwoliliśmy się zastraszyć — ale tak mogli mówić tylko ci, którzy nie widzieli odgrających się tłumów w Oświęcimiu. Tyle, jeśli chodzi o rok 1921.

Rok 1923 zaliczaliśmy do roku „turystycznego”. Skończyła się pierwsza runda rozgrywek o mistrzostwo Polski, zaczęły się wakacje, lecz trwała wszczęta jeszcze w okresie wiosennym gorączkowa korespondencja i gorączkowy nastrój. Chodziło o zrealizowanie najdalszego i najdłuższego wyjazdu drużyny piłkarskiej: tournée do Hiszpanii. Wyjeżdżały tam najlepsze drużyny Europy, zarówno z kontynentu jak i z Anglii, dla podreperowania finansów swego klubu, a także po budzące w świecie sportowym sensacyjne porażki. A oto kilka szczegółów dających pojęcie o tym, jak doszło do sfinalizowania wyjazdu białoczerwonych. Lekarz — w danym okresie jeszcze bez dyplomu — Henryk Brand, sprawozdawca sportowy wychodzącego wówczas jeszcze „Przeglądu Sportowego”, był zarazem korespondentem popularnej w Krakowie gazety wiedeńskiej „Wiener Sporttagblatt”. Dziennik ten miał również swego korespondenta w Hiszpanii, z siedzibą w Barcelonie. Uzyskawszy zgodę Cracovii na przeprowadzenie w jej imieniu rokowań, zwrócił się pan Brand do kolegi po sportowym piórze, niejakiego p. Stockera, który okazał się później aż za sprytnym menagerem. Po dłuższej korespondencji, która przeniosła się do sekretariatu Cracovii, umowa doszła do skutku. Ustalono, że krakowianie rozegrają w różnych miastach półwyspu Iberyjskiego osiem meczów, a wedle wszelkich oznak wyprawa miała przynieść dość poważny sukces finansowy. Mowa o sukcesie finansowym, bo z góry było wiadomo, że na specjalne laury sportowe trudno liczyć. Przykład i rezultaty uzyskiwane w Hiszpanii przez najlepsze drużyny francuskie, niemieckie a nawet zawodowe angielskie — to wszystko nie rokowało zespołowi polskiemu łatwego „życia”.

Tutaj mała dygresja. Skąd wziął się ten pęd na południe i jakie go spowodowały przyczyny. W czym szukać naglej zwyżki poziomu futbolu hiszpańskiego i jego dążenia do licznych kontaktów z piłkarstwem europejskim?

Po pierwszej wojnie światowej, na której Hiszpania, zachowując neutralność, zarabiała na dostawach dla obu stron wojujących, zapanował na biednym dotychczas półwyspie okres — co prawda krótki — prawdziwej „prosperity”. Waluta hiszpańska miała ustalony wysoki międzynarodowy kurs, w kraju zmniejszyło się bezrobocie, sytuacja polityczna wydawała się uregulowana.

Królowa hiszpańska Wiktoria, z pochodzenia Angielka, niechętnie a raczej z odrazą odnosiła się do „corridy”, tj. do walki z bykami, najpopularniejszego,

powiedzieć można narodowego sportu hiszpańskiego. W zamiarze odwrócenia uwagi mas, „entuzjastów tego „sportu”, w innym kierunku, wysunięto na pierwszy plan i zaczęto propagować i popierać sport piłkarski. Sprowadzono zagranicznych trenerów, a dzięki dobrym warunkom rozwojowym jako też niezaprzeczalnemu talentowi sportowemu Hiszpanów, osiągnięto wysoki poziom. Zaczęto rozbudowywać stadiony, aby pomieścić stale zwiększające się tłumy widzów. Słowem, piłka nożna stawała się w Hiszpanii coraz bardziej atrakcyjna, chociaż nie osłabiła bynajmniej entuzjazmu dla walki z bykami. A atrakcją i to niemałą — poza rozgrywkami o mistrzostwo — były drużyny zagraniczne. Na taki to okres przypadł wyjazd Cracovii.

Po sfinalizowaniu rokowań trzeba było uzyskać zgodę Polskiego Związku Piłki Nożnej zarówno na wyjazd, jak i na przesunięcie przypadających na czas wyjazdu spotkań. Gdy sprawy te zostały pomyślnie załatwione, wystąpiła niełatwa kwestia paszportów i wiz. Ale i z tym uporano się jakoś oraz ustalono trasę przez Czechosłowację, Austrię, Szwajcarię, Francję.

Przy zestawieniu składu drużyny musiano zrezygnować z Szperlinga (nie mógł otrzymać urlopu) oraz Koguta (zdyskwalifikowany za przewinienia natury dyscyplinarnej). Oto ostateczna lista graczy: bramkarze — Popiel i Przeworski; obrona — Gintel i Fryc; pomoc — Synowiec, Cikowski, Styczeń; atak od lewego skrzydła — Ciszewski, Chruściński, Kałuża, Reyman Jan, Zimowski. Rezerwowi — Łańko, Strycharz, Alfus. Drużynie towarzyszyć mieli z ramienia klubu dr Cetnarowski i ja, pan Brand, który doprowadził wyprawę do skutku. Na dwa dni przed datą wyjazdu zachorował dr Cetnarowski i nie było mowy o tym, aby mógł zaryzykować tak daleką i pełną trudu podróż. W jego miejsce nie mógł wyjechać nikt inny, gdyż nie było paszportu. Cała ekspedycja liczyła więc łącznie 17 osób. Do Barcelony, gdzie miały być rozegrane dwa pierwsze spotkania, mieliśmy przybyć na dwa dni przed pierwszym meczem. Z Krakowa wyjechaliśmy żegnani przez ogromne grono kibiców. Dojechaliśmy do Wiednia szczęśliwie po przebrnięciu dwu granic i dwu rewizji celnych. Tutaj drużyna pod opieką Synowca i Kałuży udała się naturalnie do Prateru, ja zaś z Frycem — który na czas wycieczki miał być moim pomocnikiem w prowadzeniu rachunków — do biura podróży Schenker & Co, mieszczącego się na rogu Kärtnerstrasse i Graben. Obsłużono nas naprawdę na medal. Bilety do Barcelony, a więc na koleje austriackie, szwajcarskie, francuskie i hiszpańskie obliczono po możliwie najniższych kursach. Zapewniono nam przez własne agencje wszelkie ułatwienia po drodze, poinformowano dokładnie o możliwościach i cenach zakwaterowania, wskazując już w Barcelonie adres pierwszorzędного pensjonatu prowadzonego przez małżeństwo szwajcarskie.

Po przybyciu wieczorem na dworzec wiedeński przejął nas umundurowany przedstawiciel firmy, który zaprowadził nas do zarezerwowanego wagonu. Początek podróży, która miała obfitować w najróżnorodniejsze wydarzenia, zapowiadał się więc nieźle. Nad ranem przybyliśmy nad granicę szwajcarską. I tu pierwsze przykrości. Rewizja bagażu przeszła względnie szybko i bez trudności; kontrola paszportów przebiegała w trybie normalnym, niestety kontrola sanitarna wywołała u nas zdumienie i oburzenie. Wysadzono nas

jedynych z całego pociągu i zażądano, abyśmy się poddali dezynfekcji, uzasadniając, że w Polsce panują różne epidemie. Dopiero po długich przetargach sanitariusze ustąpili i mogliśmy zająć nasze miejsca.

Piękne widoki Szwajcarii wpłynęły dodatnio na poprawę humorów i apetytów, a wkrótce nasz wagon był ośrodkiem zainteresowania wszystkich pasażerów. Zdaje się, że chłopcy nieźle propagowali Polskę, o której jeszcze w 1923 roku nie miano wyrobionego zdania. Wieczorem w Zurychu oczekiwał nas znowu funkcjonariusz Schenkera, który zarezerwował dla nas miejsca na spożycie kolacji. Po całodziennej podróży apetyty dopisywały, a rachunek za wieczerzę w walucie szwajcarskiej wynosił kwotę, która w przeliczeniu na naszą stanowiła pokaźny mająteczek. Po kolacji jeszcze przechadzka po Zurychu w znakomitych humorach, podtrzymywanych w dodatku dowcipami niewyczerpanego w pomysłach Gintela. Kiedy przechodziliśmy przed budynkiem giełdy, której notowania walutowe stanowiły dyktat dla całego świata, Gintel zatrzymał całe towarzystwo, zapowiadając podjęcie próby podniesienia wartości waluty polskiej. Położył na chodniku banknot polski i polecił ustawić się opodal. Ale tylko jeden z przechodniów zwrócił uwagę na leżący papier, podniósł go, obejrzał... i położył z powrotem. Wtedy Ludwik podszedł sam i podnosząc banknot z ziemi zauważył: „podniosłem walutę polską, zobaczycie, że będzie zwyczajka”.

W nocy, żegnani przez naszego opiekuna zajęliśmy miejsca w wagonie, który miał nas dowieźć do Barcelony. Nad ranem na granicy francuskiej rewizja była tylko formalnością. W Lyonie dłuższy postój, tak że do Narbonne, gdzie nasz wagon miano przyłączyć do pospiesznego pociągu, zdążającego do Barcelony, dojechaliśmy już w nocy, podczas ulewnego deszczu. Po dłuższym czasie stwierdzamy, że pociąg pospieszny do Barcelony dawno odszedł a nas nie przyłączono z powodu deszczu. Mało uprzejmy dyżurny informuje nas, że wagon będzie przyłączony do osobowego pociągu, który za kilka godzin podąży tylko do granicy hiszpańskiej. Na szczęście dyżurny nie rozumiał po polsku, gdyż „wiązka”, która poszła pod jego i jego kolejarzy adresem, obfitywała w najpiękniejszy „wybór” przekleństw. Cały misternie obmyślany i na realnych podstawach oparty plan podróży i wypoczynku po podróży runął. Wiedzieliśmy konkretnie, że straciliśmy noc, którą mieliśmy już spędzić w stolicy Katalonii. Osiągnęliśmy wreszcie stację graniczną — Port Bou. Tonąc w błocie i ciemnościach pod przewodem uproszonego kolejarza dobrnęliśmy do jakiejś małej restauracyjki, gdzie cała karta ograniczała się do „ragou” z królika i do tego w bardzo ograniczonej ilości. Nie rozumiejących po francusku zawodników nie objaśniono, jaki specjał mają na talerzach. Niektórzy po pierwszych kęsach odsunęli talerze, ograniczając się do skonsumowania chleba, również w nieznacznych ilościach. Ci, których głód skłonił do zjedzenia „ragou”, żalowali już po 2 godzinach, że nie oparli się pokusie — przypłacili to torsjami. Zmęczone i wściekłe, rozłożyło się bractwo w pustym i mokrym w dodatku wagonie. Szarzało, gdy jeszcze suszyliśmy się na francuskiej stacji, która tak dała się nam we znaki.

Wreszcie stanęliśmy na ziemi hiszpańskiej. W restauracji dworcowej — o ile restaurację rastauracją, a dworzec dworcem nazwać można — poza wi-

nem i czarną kawą pustki. Po dłuższych ceregielach wystarano się o nieco mleka i na śniadanie wypiliśmy po filiżance co prawda sporej i w dodatku świetnej białej kawy. Wreszcie ruszyliśmy „bumelcugiem” pod wieczór. Wagon-y-gruchoty, podróżni — hiszpańscy chłopcy, którzy nie mogli się nadziwić, że Polacy wyglądają zupełnie jak inni ludzie. Po hiszpańsku nikt z całej drużyny nie mówił, a nasi współpasażerowie, którzy często się zmieniali, gdyż pociąg zatrzymywał się na każdym przystanku, przy każdej budce dróżnika, władali tylko językiem hiszpańskim. W Barcelonie nikt nas oczywiście nie oczekiwał. Z dworca rychło nas wyproszono. Na ulicy uderzyła nas ogromna ilość charakterystycznie ubranej „guardia civile”. Staliśmy na ulicy koło budki telefonicznej, numery telefonu klubowego były mi znane, ale w żaden sposób nie można było uzyskać połączenia nie znając języka hiszpańskiego. Na szczęście jakiś przechodzień domyślił się kto jesteśmy, z okazanego mu blankietu listowego klubu barcelońskiego wziął numer telefonu i po chwili rozmawiałem już z naszym byłym trenerem Pozsonyim, który po wyjeździe z Krakowa otrzymał engagement do F. C. Barcelona. Po kilku minutach uszczęśliwiony spotkaniem Węgier witał się z nie mniej uradowaną ekspedycją. Dowiedziawszy się, jakie w Wiedniu polecono nam locum, stwierdził, że faktycznie pensjonat jest doskonały, że jak na stosunki barcelońskie jest nieco drogi i ostrzegał przed kuchnią hiszpańską, a zwłaszcza przed oliwą, której działanie może być bardzo dla nas niepożądane.

Okazało się, że pensjonat położony jest przy centralnym placu i zasługuje na pochwały pod każdym względem. Przygotowany dla nas obiad, do którego zasiedliśmy po kąpieli, był wyśmienity. Apetyty i humory na odpowiednim poziomie. Jedynie oliwki, i to w rozmaitej formie, nie znalazły amatorów. Próbował ich tylko Jędrus Przeworski, ale mimo jego zapewnień, że są świetne, nie znalazł naśladowców. Zdaje się jednak, że te jego zapewnienia nie były zupełnie szczerze, gdyż w czasie całego dalszego pobytu w Hiszpanii nikogo do nich nie namawiał, ani też sam swego specjału więcej nie kosztował.

Zaraz po obiedzie zjawił się u nas nasz przyszły „opiekun” p. Stocker. Szwajcar z pochodzenia, był urzędnikiem firmy, której właścicielem był prezes F. C. Barcelona, również Szwajcar, p. Gamper. Z ramienia F. C. Barcelona, inicjatora naszej wędrówki po Hiszpanii, miał p. Stocker towarzyszyć nam w podróżach po Hiszpanii. Od niego nauczyłem się pierwszych dwu słów hiszpańskich, które okazały się następnie niezbędne w pertraktacjach z szefami kuchni we wszystkich miejscowościach, do których nas zaprowadziły umowy zawarte przez Barcelonę. Były to słowa: „wyłącznie masło”. Dzięki temu, jako też i dlatego, że nie posługiwaliśmy się w podróżach wagonami restauracyjnymi, żaden z uczestników wyprawy nie skarżył się na dolegliwości żołądkowe. Pan Stocker zaprowadził nas po obiedzie do kolejowego biura biletowego, w którym kupiliśmy tzw. „kilometricos”. Były to książeczki z fotografiami, uprawniające do tanich przejazdów kolejowych po podstemplowaniu ich w specjalnych kasach bez kolejek.

Pozsonyi ostrzegł nas, że Hiszpanie grają bardzo ostro, a boiska pozbawione trawy, twarde jak klepisko, że powinniśmy trzymać piłkę przy ziemi, gdyż Hiszpanie są w grze głową bezkonkurencyjni, a sędziowie bardzo dla go-

spodarzy — życzliwi. Okazało się, że nie przesadzał. Jak już wspomniałem dwa pierwsze mecze miały się odbyć w Barcelonie.

Grać mieliśmy z klubem Barcelona, w którego doskonale dobranej drużynie, niejednokrotnej zdobywczyni mistrzostwa Hiszpanii, asami byli: lewy łącznik — lekarz Alcantara; środkowy pomocnik — Sanczo oraz znany nam z Krakowa bramkarz — Plattko. Ten ostatni zaangażowany został do Hiszpanii jako konkurent narodowego bohatera piłkarstwa hiszpańskiego — Zamorry. Zamorrę ściągnął do Barcelony miejscowy przeciwnik — klub Europa. Długo trwał przetarg między lokalnymi rywalami, a kiedy zwycięsko z tego handlu wyszedł klub Europa, Barcelona rozglądnęła się za odpowiednim magnesem kasowym, przy czym wybór — zdaje się, że nie bez sugestii Pozsonyiego — padł na bramkarza Plattko, uchodzącego za najlepszego bramkarza w środkowej Europie. Słowak z pochodzenia, niezłe mówiący po polsku, grał w budapeszteńskim klubie Vasas. Z graczami Cracovii poznał się jeszcze w 1918 roku, kiedy razem z budapeszteńską drużyną bawił w Krakowie i musiał w meczu wygranym przez Cracovię 4:2 przepuścić aż 4 bramki. Plattko nie zaćmił Zamorry, ale był świetnym bramkarzem i cieszył się w Hiszpanii olbrzymią popularnością. Środkowy pomocnik Sanczo, gracz reprezentacji Hiszpanii, zaczął karierę jako pastuch, był zupełnym analfabetą, na codzień chodził boso, a tylko z konieczności używał obuwia wyłącznie na boisku. Alcantara był w tym czasie synonimem futbolu hiszpańskiego. Nawet ludzie nic nie wiedzący o piłce w Hiszpanii, wiedzieli, że lewy łącznik barcelońskiego klubu, to niezwykła postać na boiskach półwyspu pirenejskiego. Nie było meczu, podczas którego nie byłby autorem kilku bramek. Imponował dżentelmeńskim zachowaniem, ale w grze ostrej nie pozostawał wcale w tyle za swymi partnerami, z którymi poza boiskiem nie utrzymywał żadnych stosunków.

Stadion, na którym biało-czerwoni poprzedzeni iście południową reklamą mieli rozegrać spotkania, nie był imponujący. Boiska-giganty miały powstać znacznie później. Pomieszczenie do 20 000 widzów uważano wtedy za rekordowe. Toteż w sobotę zebrało się na widowni 10 000 widzów. Niezbyt podniósł nas na duchu pokaz gabinetu lekarskiego i kompletnie urządzonej sali operacyjnej pod trybuną, ale wszystko zrekompensowało nam nadzwyczaj serdeczne przyjęcie nas przez publiczność. Już pierwsze chwile gry pokazały, że diabeł nie taki straszny, jak go opisywano. Krakowiacy mimo osłabionego składu byli zupełnie równorzędnym przeciwnikiem, a zagrywki napastników biało-czerwonych wywołały burzliwe uznanie. Gdy jednak Chruściński z kombinacji z Kałużą strzelił bramkę i na przerwie rezultat brzmiał 1:0 na korzyść Cracovii, wydłużyły się miny działaczy barcelońskich, a jeszcze bardziej zrzędy miny zawodników hiszpańskich, którym wymykała się premia za wygranie zawodów. Toteż obraz gry zmienił się w drugiej połowie. Jeśli gra w pierwszej połowie była jak na stosunki środkowoeuropejskie ostra, to teraz przybrała jeszcze bardziej na ostrości. Hiszpańscy gracze szli bezwzględnie na przeciwnika i wkrótce biało-czerwoni poczuli rezultaty. Bolesne zderzenia a nawet złośliwe faule powtarzały się coraz częściej. Wreszcie Hiszpanie wyrównali, lecz co najmniej równorzędna gra, mimo wysiłków Barcelony, utrzymała się do końca i gwizdek sędziego przy stanie 1:1 zakończył zawody. Ale

oczekiwał nas rewanż już na następny dzień. Trudy podróży i kontuzje nie wróżyły niczego dobrego. Humory poprawiły się wieczorem, gdy na przedstawieniu rewiowym usłyszeliśmy i zobaczyli słynną pieśniarkę Argentynę rzucającą ze sceny między publiczność cudowne, ale też i zawrotnie drogie szale hiszpańskie, które naturalnie po ukończeniu pieśni artystce odrzucano.

Początek zawodów w następny dzień zapowiadał się doskonale. Hiszpanie atakowali z furją, ale krakowiaczy odpowiadali energicznie. I znowu, jak w pierwszy dzień, biało-czerwoni strzelają pierwszą bramkę. To już doprowadza barcelończyków do białej gorączki. Wkrótce możemy się przekonać, że doniesienia i sprawozdania o „ostrej” grze w Hiszpanii nie są bynajmniej przesadzone. Rezultat do przerwy 1:1. Po pauzie najpierw opuszcza boisko kontuzjowany bramkarz Popiel, po nim ze złamanym obojczykiem pomocnik Strycharz. Poza tym kulejących i boleśnie poobijanych nie brak. Zwycięstwo 7:1 swej drużyny przyjmuje publiczność barcelońska bez oznak entuzjazmu. Natomiast sprawozdania w prasie wyrażają się o Cracovii z największymi pochwałami.

Nie mogę pominąć z pobytu w Barcelonie pewnego wydarzenia, które przez długi czas stanowiło temat rozmów. Prezes klubu barcelońskiego zaprosił drużynę na podwieczorek do największej w tym mieście kawiarni, której — nawiasem mówiąc — był właścicielem. Zdaje się, że publiczność była uprzedzona, że drużyna z Polski ma być w tym czasie obecna w kawiarni, bo spojrzenia całego zapełnionego lokalu kierowały się na nasz stół. Przygrywała, jak zwykle o tej porze orkiestra. W pewnym momencie zagrała znany u nas romans cygański „Czarne Oczy”, a publiczność powstała ku naszemu zdumieniu z miejsc. Nie chcąc budzić sensacji poderwałem drużynę z miejsc, dowiadując się równocześnie, że orkiestra gra hymn polski, który publiczność uczciła przez powstanie. Tak więc romans cygański zaawansował na polski hymn narodowy. Aby jednak wyprowadzić obecnych z błędu, zaśpiewaliśmy Mazurka Dąbrowskiego, co przyjęto z ogromną owacją.

Do Walencji przybyliśmy po całonocnej podróży. Na mapie wydaje się Hiszpania krajem niezbyt rozległym, ale realne pojęcie o obszarze daje dopiero pobyt i odległości przebywane pociągami. Z ciekawością obejrzelśmy to miasto, w którym widoczne są wpływy budownictwa mauretańskiego. Nie wolno nam jednak zapominać, że nie jesteśmy wyłącznie wycieczką krajoznawczą — trzeba się przygotować do oczekujących nas dwu spotkań.

W Walencji przekonaliśmy się, dlaczego narodowe drużyny angielskie, pomimo ponętnych propozycji, nie chcą rozgrywać zawodów na hiszpańskich boiskach. Już drużyna barcelońska pokazała nam, że w Hiszpanii piłkarz, poza wysokimi umiejętnościami i wytrzymałością nerwową, musi być też zahartowany w tym znaczeniu, że trzeba znosić grę, jakiej poza Hiszpanią nie tolerowałby żaden sędzia, ani żadna publiczność. O sędziach hiszpańskich jeszcze wspomnę później. Publiczność jak to publiczność. Przyzwyczajono ją do takiej gry, odpowiadało to zresztą jej temperamentowi. Ale zawody w Barcelonie nie dały nam nawet przedsmaku tego, co nas oczekiwało na boisku w Walencji. Nie będę opisywał przebiegu zawodów. Wspomnę tylko, że na środku ataku grał w drużynie klubu Valencja późniejszy środkowy napastnik repre-

zentacji Hiszpanii nazwiskiem Montez. Już po niedługim czasie można było zaobserwować na boisku taki obrazek: gdy Montez otrzymywał piłkę, nie zbliżał się do niego żaden z naszych napastników. Słyszało się okrzyk: „Cikuś (Cikowski), bierz go”. A nasz środkowy pomocnik poprawiając wiązanie buta „przekazywał” opiekę Frycowi, który skutki tej opieki wkrótce odpokutował. Fryc, znany „kosynier”, dla którego nie było dotychczas dość ostrego przeciwnika, zniesiony został nieprzytomny z boiska do szatni, gdzie z trudem uratowałem go przed nie znanymi mi nawet z nazwy zastrzykami. Ledwo doprowadzono Fryca do przytomności, a już schodził z boiska ciężko chromając Popiel. Sam się zresztą nabawił tej kontuzji, która uniemożliwiła mu udział w kilku następnych spotkaniach. Wedle jego opowiadania, broniąc się przed atakiem Monteza kopnął go ile tylko miał sił w okolicę biodra. W rezultacie tej „samoobrony” Montez strzepnął lekko ręką kopnięte miejsce, a Popiel przeszło tydzień musiał się posługiwać laską podczas chodzenia. Miejsce Popiela w bramce zajął Przeworski, który już po niedługim czasie płacząc, (dosłownie!) chciał stamtąd uciec. Co robić? Po dłuższych perswazjach obtłuczony Jędrus zdecydował się zostać na swym posterunku. Zarówno jednak gospodarze, tj. zarząd klubu, jak i publiczność przyjmowali nas bardzo serdecznie.

Pensjonat, w którym nas ulokowano w Madrycie, znajdował się przy ulicy Jeruzalem, wychodzącej na leżącą w centrum miasta słynną Puerta del Sol (Wrota Słońca). Przeciwnikiem naszym był Real Madrid, który w owe lata nie był jeszcze tak wielki, ani też tak sławny, jak obecnie. Boisko mieściło się we wnętrzu toru kolarskiego, a widownia obliczona była zaledwie na kilka tysięcy osób. Ale stadion znajdował się w mieście, co prawda nie w centrum, i był stosunkowo łatwo osiągalny. Wspomniałem już o specjalnej „klasie” hiszpańskich sędziów piłkarskich. Tutaj muszę poświęcić im nieco więcej miejsca, gdyż jakkolwiek już w dotychczasowych spotkaniach mogliśmy wyrobić sobie o tych sportowych figurach sąd, i to nawet bardzo ujemny, to p. Ayres (tak brzmiało nazwisko sędziego pierwszego meczu w Madrycie) stanąłby na pewno na podium zwycięzców między innymi pod względem stronniczości i nieumiejętności. Faktem bowiem jest, że z czterech bramek zdobytych przez Real w tym meczu, a n i j e d n a nie była, uzyskana prawidłowo. Oceniała to należycie nawet publiczność. Gdyby nie ochrona całego plutonu „Guardia civile”, która wkroczyła na boisko z ostatnim gwizdkiem, to nie wiadomo w jakim stanie byłby ten sędzia dostał się do szatni. Tylko z największym trudem zdołali gwardziści powstrzymać szalejący tłum od — zdawałoby się — zlinczowania tego człowieka, który podobno dopiero późnym wieczorem mógł się wydostać poza obręb boiska. Nie przeszkadzało to jednak zupełnie panu Ayresowi pojawić się w następny dzień z najniewinniejszą miną w naszej szatni, aby dać nam do wypełnienia formularz ze składem drużyny, gdyż był wyznaczony na sędziego i drugiego spotkania. „Był wyznaczony”, a właściwie wyznaczył się sam, jako przewodniczący kolegium sędziowskiego. Jak się później dowiedzieliśmy cieszył się p. Ayres „zasłużoną” sławą i poza granicami Hiszpanii. Drużyny przyjeżdżające na półwysep iberyjski, o ile nie przywoziły swych sędziów (jak Anglicy), zastrzegały w umowach wyłączenie Ayresa. Pan Ayres nie był niestety wyjątkiem wśród sędziów, których nam wyznaczono. Sędzia piłkarski

już w roku 1923 pobierał za kierowanie zawodami 100 pesetów, a więc sumę — uwzględniając siłę kupna peseta — bardzo znaczną. Nic dziwnego, że kluby, wypłacając taką kwotę, wymagały od sędziego, aby na czas prowadzenia zawodów pozostawiał bezstronność i skrupuły w szatni, a faworyzował wzgl. pozwalał na wszelkie wybryki gospodarzom. Zwyczajnie przeto publiczność nie wyrażała swego uznania sędziemu w tej formie, jak to się stało po meczu z nami.

Wolne od zajęć godziny poświęcało się zwiedzaniu miasta. W pałacu królewskim udostępniona była tylko wozownia, oznaczona w przewodniku Baedekera trzema gwiazdkami. Głównym magnesem było muzeum „Prado”. Poświęcało mu się całe przedpołudnie i opuszczało z żalem, gdyż trzeba było pamiętać o właściwym celu naszej podróży.

Pewnego dnia, wracając do pensjonatu na obiad, zastaliśmy naszą ulicę zatłoczoną tłumem. Największy ścisk przed domem, w którym mieścił się nasz pensjonat. Zaniepokojeni, tylko z wielkim trudem zdołaliśmy przepchać się do wnętrza, aby dowiedzieć się, że w tym samym pensjonacie zamieszkał słynny toreador, który ma wystąpić w najbliższej corridzie. Entuzjaści rytmicznymi wywoływaniami jego nazwiska żądali ukazania się swego bohatera na balkonie. Toteż matador musiał spełniać życzenia swych zwolenników, zwłaszcza gdy ci gwizdami i okrzykami wyrażającymi zniecierpliwienie, zmuszali go, aby pokazywał się co pewien czas i iście monarszym gestem dziękował za owację. Ciekawe było jednak to, że toreador mieszkał w tym pensjonacie tylko z najbliższą służbą, cała zaś jego ekipa, to jest zarówno banderillerzy jak i pikadorzy, ulokowani byli tylko w jakimś podrzędnym hotelu.

W Madrycie ukończyliśmy już $\frac{2}{3}$ naszej wyprawy, gdyż jeszcze w Barcelonie dowiedzieliśmy się, że zaplanowano nie osiem lecz dziesięć spotkań i że za te dwa dodatkowe otrzymamy odpowiednią kwotę. I tak z Madrytu mieliśmy jechać do Vigo na zachodnim wybrzeżu, a następnie przez Madryt do Sewilli na południowym wschodzie, przeto chłopcy chętnie zgodzili się na takie rozszerzenie programu. Nęciła możliwość poznania różnych stron rozległego kraju, a niemałą atrakcją była myśl o zwiedzeniu Sewilli, największego poza Granadą magnesu. Nie chcąc zostawić wszystkiego na ostatni moment, udałem się z Jędrusem Przeworskim do jednego z biur Cooka, aby uzyskać dokładne informacje kolejowe. Dowiedziałem się tam ku mojemu zdumieniu, że biuro nie sprzedaje biletów do Krakowa a tylko do granicy polsko-niemieckiej. Rozmawiający z nami urzędnik, dowiedziawszy się, że należymy do polskiej drużyny sportowej, wprowadza nas do przyległego pustego pokoju i prosząc o zachowanie jak najściślejszej dyskrecji, odradza kupowanie biletów do granicy Polski. W Niemczech szaleje dewaluacja. Wartość marki spada z dnia na dzień, z godziny na godzinę. Gdybyśmy obstawali przy zakupie biletów przez Niemcy, obowiązany jest obliczać należytość wedle kursu złota, co dawało w rezultacie kwotę fantastyczną, nieosiągalną dla naszych możliwości. Natomiast radzi dojechać do granicy niemieckiej i dopiero tam kupić bilety na podróż przez Niemcy; taka manipulacja spowoduje wielokrotne obniżenie ceny biletów. Ponowił prośbę o dyskrecję, gdyż działał przecież na szkodę firmy. Do jego obowiązków należało sprzedać nam bilety według wyrażonego ży-

czenia, co naturalnie przyniosłoby Cookowi poważny zysk. Jako Szwajcar z urodzenia żywi sympatię do Polski i Polaków, a jako sportowiec nie mógł dopuścić do poszkodowania sportowej drużyny. Serdecznie podziękowaliśmy, a ile były warte jego rady przekonałem się później.

Dwadzieścia cztery godziny trwała podróż do następnego naszego celu podróży, którym był port Vigo na zachodnim wybrzeżu Hiszpanii. Cierpliwi wyliczyli, że na trasie tej przejechaliśmy przez 101 tuneli. Droga dłużyła się, lecz zwyczajny pociąg pocztowy tj. osobowy, przebywał ją z przeciętną szybkością 40 km na godzinę. Zupełnie rozbici, z radością opuściliśmy wagon, aby odetchnąć świeżym morskim powietrzem.

Klub Vigo dysponował niezłą drużyną i boiskiem, właśnie dzięki sąsiedztwu oceanu nieco zatrawionym. O zarządzie klubu dowiedzieliśmy się niewiele, a z jego przedstawicielami prawie zupełnie nie zetknęliśmy się. Przyczyna wyjaśniła się później. Po drugim spotkaniu zaproszono nas na kolację do restauracji w przepięknym parku, w którym stoły, rozrzucone na tarasach na stoku pagórka, poukrywane były w altanach i sztucznych grotach. Przyjął nas, jako gospodarz, prezes klubu, stary arystokrata o długim nazwisku, niestety jego bilet wizytowy zaginął. Przyzwyczailiśmy się już do tego, że zapraszano tylko nas, a z przeciwnikami poza boiskiem w ogóle jeszcze nie zetknęliśmy się. I tym razem tak się stało, tyle, że pan prezes wyrażał się bardzo lekceważąco o poziomie towarzyskim i intelektualnym zawodników hiszpańskich w ogóle, a swojego klubu w szczególności. Zdumiony był zachowaniem naszych zawodników i nie mógł się nadziwić, że nie można było dostrzec tak znacznych pośród nas różnic wykształcenia i pochodzenia społecznego. Jak się na następny dzień przekonałem prezes był naprawdę hiszpańskim grandem, zaprosił mnie bowiem na „lunch” do swego pałacu oddalonego o 40 km od Vigo. Tam byłem przyjęty przez niego i jego rodzinę, tj. żonę, córkę i dwu synów, z których jeden studiował w Oksfordzie, a drugi w Heidelbergu. Było to pierwsze ich spotkanie z człowiekiem pochodzącym z Polski i odnoszono się do mnie wprost serdecznie, ciągle prosząc o przedłużenie wizyty. Wspominam o tym incydencie dlatego, że gdy w drodze powrotnej w Madrycie mówiłem o tym w poselstwie polskim, ówczesny nasz poseł nie mógł się powstrzymać od okrzyków podziwu, mówiąc, że bawi już na swym posterunku kilka lat, lecz nie dostąpił zaszczytu zaproszenia go przez kogokolwiek „z towarzystwa” hiszpańskiego, które znane jest ze swej ekskluzywności w stosunku do obcych.

W Vigo doszło też do poważnego zatargu z naszym aniołem stróżem — panem Stockerem, na tle trudności, jakie robił w związku z rozliczeniem się z należnych nam pieniędzy. Ponieważ obawiałem się, że w sytuacji, jak ją przedstawił pracownik Cooka w Madrycie, mogę utknąć z drużyną gdzieś w drodze, zwróciłem się obszernym telegramem do prezesa klubu barcelońskiego p. Gampera. Odwrotnie nadszedł telegram z Barcelony, że Stockerowi wydano surowe polecenie wypłaty według zawartej umowy. Z kwaśnym uśmiechem i zapewnieniami, że zaszło tylko „nieporozumienie” wyciągnął p. Stocker z portfela 4 000 pesetów, a więc o 3 000 więcej, niż zamierzał pierwotnie nam wypłacić. Było mu tym bardziej przykro, że odrzuciłem jego ofertę towarzyszenia nam w nocnej wycieczce, do której mnie namawiał, licząc, że z „wydar-

tej” mu kwoty chociaż część poświęcę na zabawę. Pomścił się też za wyrządzoną mu krzywdę sprawozdaniem z pobytu „Cracovii”, przesłanym do wiedeńskiego dziennika sportowego.

Z Vigo przyjechaliśmy do Sewilli. Trzeba było odbyć powrotną drogę do Madrytu, aby stamtąd dopiero, po dwudziestoczwierogodzinnej przerwie, udać się dalej.

Wspomniałem już, że unikałem w przejazdach po Hiszpanii korzystania z wozów restauracyjnych. Skłaniały mnie ku temu nie względy oszczędnościowe lecz obawa przed hiszpańską kuchnią i wynikającymi z tego niedyspozycjami nieprzywykłych do niej polskich żołądków. Dotychczas wszystko odbywało się szczęśliwie, gdyż doglądałem wszędzie kuchni i kucharzy. I tym razem na całodzienną podróż zaopatrzyłem się w „suchy” prowiant, a więc wędlinę, sardynki, sery, owoce, pieczywo i lekkie wino stołowe. Było tego sporo, ale też trzeba było wyżywić siedemnaście osób o niezłych apetytach. Aby rozładować ogromne pakunki, podzieliłem towarzystwo na trzyosobowe grupy, z których każda otrzymała równą ilość zapasów na cały dzień. Przydarzyło się wtedy coś, o czym jeszcze niezawodnie niejedno pokolenie piłkarzy Cracovii będzie opowiadało w czasie wypraw zagranicznych. Jedną z takich grup stanowiła trójka: Synowiec, Kałuża i Styczeń. Ponieważ Synowiec miał największy luz w swej walizce (pleciony kosz), przeto jemu przypadła w udziale opieka nad prowiantem kolegów. Około południa, zachęceni przykładem innych, spożywających już częściowo swoje przydziały, zwrócili się Kałuża i Styczeń do Synowca z propozycją drugiego śniadania. Synowiec otworzył walizkę i zaczął wydobywać skarby. Kałuża zaproponował, aby zacząć od sardynek. Synowiec zaczyna coraz bardziej nerwowo przerzucać wszystko, co się tylko w walizce znajdowało — a sardynek nie ma. Koledzy napierają coraz bardziej, aż zdenerwowany kapitan, zapewniając, że ani nie zgubił, ani też mu sardynek nie skradziono, gdyż wszystkie inne produkty są, zaczyna szukać sardynek w kieszeniach ubrania, które ma na sobie. Kończy te poszukiwania na kieszonkach kamizelki. Ten odruch wywołał ogólny huragan śmiechu. Wystarczy sobie tylko wyobrazić: kieszonka od kamizelki i wielkie, bo półkilowe pudło sardynek! Incydent zakończył się jednak bez zgrzytów, bo jakkolwiek Tadiusz nie znalazł sardynek, trójka otrzymała przysmak z rezerwy, która musiała być zawsze przygotowana.

W Sewilli byliśmy ulokowani w hotelu niedaleko fabryki cygar. Zwiedziliśmy miasto dosyć dokładnie. Podziw nasz budziły zwłaszcza ogromne kapelusze mężczyzn. I my też wzbudzaliśmy powszechne zaciekawienie mieszkańców, którzy po raz pierwszy zetknęli się z przybyszami z „dalekiej północy” i słabo tylko znanej Polski. Synowiec stał się tutaj bohaterem niezwyklej przygody. Podczas zawodów, w czasie których krzywdził nas — jak zwykle zresztą — sędzia, Synowiec w poczuciu krzywdy podbiegł do niego w pewnej chwili i począł mu perswadować, że orzeczenie jest niezgodne z przepisami, używając do tego słów: „arbitro non regle”. Sędzia naturalnie nie rozumiał tego „hiszpańskiego” wyrażenia i prowadził mimo protestów Synowca zawody w dalszym ciągu. Nasz kapitan drużyny był ogólnie znany z tego, że w najślusniejszych nawet sprawach nie zwracał się nigdy do sędziego. A tu nagle

taki wybuch. Po zawodach siedzieliśmy już w autobusie, a Synowiec, którego widocznie dręczyło sumienie, pyta mnie: „Słuchaj, czy ja miałem rację?” I co było powiedzieć zmartwionemu, skoro w tym wypadku jego protest był nieuzasadniony, a rozstrzygnięcie sędziego słuszne. I znowu ogólny śmiech, bo Tadek chciał zatrzymać autobus i pójść przeprosić sędziego za niesłuszną reklamację. Z trudem wytłumaczono mu, że sędzia i tak nie zrozumiał reklamacji, ani jej sensu, nie zrozumie także, czego chce od niego i za co go przeprasza.

To było ostatnie spotkanie piłkarskie krakowian w Hiszpanii. Musiałem jeszcze wypełnić zobowiązanie wobec drużyny, że zobaczą „corridę”. Nocnym kurierem powróciliśmy do Madrytu, gdzie tylko z wielkim trudem udało się zdobyć stojące miejsca w kruzganku najwyższej kondygnacji amfiteatru. Nie będę opisywał przebiegu walk na arenie. Znane są z opisów i filmów. „Nasza” corrida była wspanialsza od innych. Czysty dochód przeznaczony był na cele „Czerwonego Krzyża”, a para królewska zaszczyliła walki swą obecnością. Nic dziwnego, że amfiteatr przedstawiał widok niezapomniany swym pięknem i barwnością. Na arenie zamiast normalnych sześciu odbyło się osiem walk. Dwie pierwsze mogły wywrzeć nawet na przyzwyczajonych do tego rodzaju „sportu” widzach wielkie wrażenie. Prowadził je na koniu gentleman-toreador z Portugalii. Wszystkie fazy walki na arenie, a więc: zadania pikadora, banderillerów i matadora, wypełniał z konia. Niezwykle emocjonujący był widok konia, unikającego dosłownie o niewiele centymetrów rogów byka — cudowne opanowanie jazdy. Tylko do spełnienia ostatniego aktu, tj. zabicia byka, jeździec opuszczał siodło. Po zakończeniu tych dwu walk padły z łoży królewskiej na arenę brylantowe spinki. Dalsze walki nie u wszystkich krakowian znalazły równe uznanie. Kilku opuściło przedwcześnie zdobyte z takim trudem miejsca, a zielony kolor twarzy i poszukiwanie ustronnych miejsc świadczyły, że morskiej choroby można się nabawić z dala od morza i podróży okrętem.

Podróż dalsza aż do Paryża odbywała się bez większych przygód. Tyle, że jeszcze w Madrycie wymieniłem w banku hiszpańskie pesety na franki francuskie. Okazało się to w następstwach znakomitym, choć zupełnie nieświadomym krokiem, bo peset zaczął wkrótce gwałtownie spadać. W Paryżu zatrzymaliśmy się tylko dziesięć godzin, ale ja wieczorem dowiedziałem się, że pociągi kursują planowo tylko do Strassburga. W Strassburgu przesiedzieliśmy długie godziny. Po wielu zachodach i prośbach pozwolono zająć miejsca w pociągu na pół cywilnym, na pół wojskowym, który zdążał do granicy niemieckiej. Zaczęło świtać, gdy zatrzymaliśmy się na przystanku niewiele większym od budki dróżnika kolejowego. Dookoła ani żywego ducha, a jak okiem sięgnąć równina, na której nie widać żadnego zabudowania. Żadnych celników, żadnej rewizji. Jak nas poinformowano w drodze, do najbliższego miasta, tj. do Frankfurtu nad Menem było sześć kilometrów. Nawet dla znużonych drogą i nieprzespaną nocą podróżników odległość nie byłaby znaczna, gdyby nie bagaż. I nagle widzimy spory czterokołowy wózek zaprzężony w człowieka i wielkiego psa. Okazuje się, że „człowiek” jest nauczycielem we wsi pod Frankfurtem i „dorabia”, przewożąc bagaż przygodnych podróżnych

do stacji tramwajowej we Frankfurcie. Załadowaliśmy więc nasze walizy na wózek i pomagając zaprzęgowi ruszamy ku miastu. Po drodze dowiadujemy się o straszliwej nędzy panującej w Niemczech, o bezprzykładnej dewaluacji marki niemieckiej. Podczas drogi przekonuję się, jaką wartość przedstawia rada urzędnika Cooka w Madrycie, który polecił wracać do Polski przez Niemcy, ale kupić bilety kolejowe tylko do granicy niemieckiej. Nie mając waluty niemieckiej, podaję naszemu „zbawcy” bilet 10-frankowy i nim zdołałem podać mu następny, właściciel wózka i psa klęka na ulicy, chce całować mnie w rękę, dziękując za dobrodzieństwo, które pozwoli mu przez kilkanaście dni zapewnić utrzymanie rodziny. Na dworcu dowiadujemy się, że kasjer nie może mi sprzedać biletów, ponieważ nie zna jeszcze oficjalnego kursu walut zagranicznych. Na moją propozycję, aby obliczył cenę wedle kursu dnia ubiegłego, odpowiada z uśmiechem, że nie orientuję się widocznie w tym, co się dzieje, a ponadto byłaby to transakcja niedozwolona wobec olbrzymiej różnicy kursu. Zdziwieni niezwykłą w tej sytuacji uczciwością niemieckiego kasjera i mocno przy tym głodni podążyliśmy do restauracji dworcowej wymiecionej — jak się okazało — z wszelakiej żywności. Okazało się jednakże, że przyrzeczenie drobnego napiwku w walucie francuskiej potrafiło zdziałać cuda. Po kilku minutach otrzymaliśmy prawdziwą białą kawę, świeże bułki, masło, jaja... Po wielu perypetiach zdołałem zmienić 700 franków, w zamian za co otrzymałem astronomiczną sumę w walucie niemieckiej, ale dodać muszę, że za śniadanie zapłaciłem 8 miliardów marek, a cena biletów kolejowych do Bytomia szła też w miliardy.

Wreszcie wieczorem siedzieliśmy w wagonie, do którego dzięki cudownemu papierkowi dostaliśmy się bocznymi przejściami dworca. Odetchnąłem, gdy pociąg ruszył. Ale nasza epopeja jeszcze się nie skończyła. Kiedy dojechaliśmy wreszcie do Bytomia, dowiedzieliśmy się, że na Górnym Śląsku strajkują kolejarze. Załadowaliśmy nasz bagaż na znaleziony na peronie wózek i torami dobrnęliśmy do Katowic. Dworzec był zamknięty przez wojsko i policję i do miasta nas nie wypuszczono. Przypadkiem dowiedzieliśmy się, że ma odejść jakiś pociąg do Sosnowca, ale na ryzyko nielicznych pasażerów i obsługi. Ostrzegano, że strajkujący podminowali most i pociąg musi paść ofiarą. Pomimo to odszukaliśmy ów skład: parowóz i trzy wagony towarowe — nieoświetlone. Załadowaliśmy się do wozu, w którym siedziało już kilka kobiet, wśród nich dwie zakonnice. Po dłuższym postoju pociąg powolutku ruszył. Całą zresztą drogę odbywał po prostu krok za krokiem. Wnętrze naszego wagonu przedstawiało widok makabryczny. W jednym kącie zapalono świeczkę, wokoło ukłękły kobiety i wśród płaczu i szlochów zaczęto odmawiać litanie. Ale szczęśliwie przebyto most i bez dalszych przygód dojechaliśmy do Sosnowca. Tutaj dowiedzieliśmy się, że dewaluacja nie ominęła naszego kraju. Ale byliśmy wreszcie w domu. Po kilkugodzinnym oczekiwaniu, normalnie, tj. pociągiem, kursującym zgodnie z rozkładem jazdy, z westchnieniem olbrzymiej ulgi powitaliśmy brudny i zaśmiecony dworzec krakowski. Tak zakończyła się nasza „epopeja hiszpańska” — najdalsza a zarazem i najdłuższa aż do roku 1939 polska ekspedycja piłkarska.

Z okresu międzywojennego zasługuje na uwagę walne zgromadzenie Cra-

covii w roku 1932. Odbudowa zniszczonego przez huragan a potem powódź parku gier i trybuny zwichnęła naszą równowagę finansową, której nie udało się mimo wysiłków doprowadzić do możliwego stanu. Zapadła wówczas decyzja postawienia na czele klubu człowieka, który by z własnej kieszeni zasilił kasę. Tym człowiekiem był dyrektor administracyjny Ilustrowanego Kuriera Codziennego — Mieczysław Dobija. Wyraził zgodę na objęcie godności prezesa i określił z góry kwotę, nawiasem mówiąc wcale poważną, jaką zamierzał przeznaczyć na poparcie zamierzeń przyszłego zarządu. Dr Cetnarowski miał otrzymać tytuł i godność prezesa honorowego, co miało mu osłodzić odsunięcie od pracy w klubie.

Tak się też stało. Zebranie miało przebieg z góry przewidziany. Na walnym zgromadzeniu dr Cetnarowski przez aklamację otrzymał godność prezesa honorowego, a Dobija, którego kandydaturę polecił ustępujący prezes, również przez aklamację został wybrany prezesem. Jediną niespodzianką był wybór — i to przez aklamację — mojej osoby na wiceprezesa sportowego, a niespodzianką dlatego, że na liście, przedstawionej zgromadzeniu, nazwisko moje nie figurowało.

Pierwszym moim krokiem w nowym charakterze była wizyta u dra Cetnarowskiego. W ostatnich latach stosunki między nami były napięte. Nie zawsze zgadzałem się z posunięciami prezesa, który znowu niechętnie słuchał krytyki. Uważałem jednak, że sprawy zmiany prezesa w Cracovii należałoby przeprowadzić w sposób mniej przykry dla ustępującego długoletniego kierownika klubu. Stan finansowy klubu był kiepski i należało koniecznie szukać uzdrowienia, ale sądziłem, że należało to czynić razem z Cetnarowskim, a nie poza jego plecami, bo wtedy i jego ustąpienie byłoby dla niego znośniejsze. Cetnarowski był moją wizytą wyraźnie zaskoczony. Gdy jednak wyjaśniłem, że zdaję sobie sprawę jak boleśnie odczuł uchwały zgromadzenia i że przyszedłem, aby mu zaproponować współpracę ze mną, był mocno wzruszony i bez wahania wyraził zgodę. Przez cały czas mojego urzędowania byliśmy w ścisłym kontakcie.

Inny zupełnie charakter miało walne zgromadzenie w 1938 roku. Cracovia od samego zarania, mimo pewnych prób w innym kierunku, była klubem w pełnym tego słowa znaczeniu demokratycznym. Nigdy nie czyniono żadnych różnic klasowych i — rasowych. Rok 1938 był jednak okresem pełnego rozkwitu polskiego faszyzmu. Trucizna przenikała nieznacznie także i do klubu. Z początkiem 1938 roku faszystowskim prowodyrom (mowa tu przede wszystkim o kpt. rez. A. Wawrzeckim) zdawało się, że program ich natrafił na podatny grunt, toteż postanowili na walnym zgromadzeniu przeprowadzić zmiany statutu i wybrać odpowiedni zarząd, słowem — opanować klub. Kilka tygodni przed zapowiedzianym zebraniem rozpoczęli gorączkową agitację. Wobec atmosfery, jaka wytworzyła się podówczas nie tylko w łonie klubu, ale i w mieście, nikt z „konserwatystów” nie wysuwał swej kandydatury, co było wodą na młyn odłamu faszyzującego. Ostatecznie podjął się tego zadania dr Narcyz Michałowski (w latach ubiegłych kierownik sekcji piłki nożnej, przewodniczący komisji rewizyjnej, członek PPS), zaznaczając, że w razie wyboru pozostanie na tym stanowisku do czasu, kiedy w klubie nastaną nor-

malne warunki. Na walnym zgromadzeniu przygniatającą większością odrzucono projekt zmiany statutu, a prezesem wybrano dra Michałowskiego. Do zarządu nie wszedł ani jeden ze zwolenników nowego porządku, którzy w liczbie zaledwie kilkudziesięciu osób opuścili pospiesznie salę i klub. Zwycięstwo zdrowej myśli a zarazem sromotną klęskę zakusów rasistowskich trzeba było jednak okupić pewnymi trudnościami ze strony władz w roku 1938 i 1939, tj. aż do wybuchu drugiej wojny światowej.

„Kopiec wspomnień” to tytuł zbiorowego tomu. Moje wspomnienia stanowią tylko skromny kopczyk. Szczupłość miejsca nie pozwoliła mi na nakreślenie nawet zarysu historii sportu footballowego w Krakowie, a co dopiero mówić o wszystkich innych rodzajach sportu, o ludziach, którzy sportowi krakowskiemu nadawali ton, tudzież o wydarzeniach, które już dobrze przyproszone są pyłem zapomnienia.

